

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 3 (45)

Jerozolima, 1 lutego 1945 r.

Rok III

WIKTOR WEINTRAUB

Po zajęciu Warszawy przez Rosjan

Wojska sowieckie zajęły Warszawę, Kraków, Bydgoszcz, są już głęboko na Śląsku, obeszły Poznań, podchodzą pod Gdańsk. Bardzo być może, że z chwilą kiedy numer ten dojdzie do rąk czytelników, cała Polska zostanie oczyszczona z niemieckiego okupanta. Jest jakaś surowa sprawiedliwość historyczna w tym, że wojna, która zaczęła się pod pretekstem uzyskania połączenia między Prusami Wschodnimi a resztą terytorium Rzeszy, kończy się likwidacją siedem wieków trwającego niemieckiego panowania w tej prowincji. I tkwi też jakieś surowe prawo odpłaty i w tym, że tu właśnie, na szerokiej równinie polskiej, bestia niemiecka otrzymuje swe ostatnie, śmiertelne ciosy, że armie niemieckie uciekają z Polski w tempie jeszcze szybszym od tego, w jakim ją zajmowały. Bo nie ma co do tego wątpliwości. Niemcy mogą się jeszcze bronić tygodniami, może miesiącami, ale to, co się w tej chwili zaczęło, to już ich agonია. Siedem potężnych armii sowieckich przywarło do cielska hitlerowskiej bestii. Nie wypuszcza jej żywa.

Nadszedł więc ten moment, na który — z jakim utęsknieniem — oczekiwaliśmy przez potwornie długich pięć i pół lat wojennych. A jednak w ciągu tych pięciu i pół lat serca nasze nigdy nie były tak mocno ściśnięte troską i niepokojem o przyszłość, jak właśnie teraz. Tragiczna ironia historii chce, że moment oczyszczenia Polski z niemieckiego okupanta to równocześnie moment, w którym ponury znak zapytania nad całym naszym istnieniem państwowym rysuje się tak groźnie i tak niepokojąco, jak nigdy dotychczas. Potworna niesprawiedliwość, — tak potworna, że trudno ogarnąć ją myślą, — sprawia, że za wszystkie ofiary, jakie przyszło nam w tej wojnie ponieść, — od Westerplatte i Warszawy po Monte Cassino i drugą Warszawę, — odmawia nam się jedynej nagrody, dla której wszystkie te ofiary zostały poniesione, — wolność.

Ta sama tragiczna niesprawiedliwość sprawia, że właśnie teraz, kiedy ostatni Niemcy są przepędzani z Polski, — los żołnierzy Polskiej Armii Krajowej musi być przedmiotem naszych szczególnych obaw. Przeciwno armii tej i jej wodzowi toczona jest kampania wyzisk i oszczerstw, która każdego człowieka, posiadającego elementarne poczucie przyzwoitości, musi zalewać falą obrzydzenia przeciwko autorom tych oszczerstw. Do Armii Krajowej poszły najofiarniejsze elementy narodu. Przez pięć zgorą lat walczyła ona z Niemcami w warunkach, które tylko bardzo mocny moralnie człowiek mógł znieść. Armii tej Alianci przyznali prawa kombatanów, zmuszając tym samym Niemców po kapitulacji Warszawy do pewnego przynajmniej liczenia się z tymi prawami. Byłoby dowodem głębokiego upadku moralnego współczesnego świata, gdyby dzisiaj, po wyrzuceniu Niemców z Polski, Polska Armia Krajowa stała się obiektem represji. Musi być sprawą elementarnego obowiązku państw sojusznicznych i ich honoru dopilnowanie, aby przed represjami tymi uchronić ludzi, których jedyną „winą“ jest wierność wobec swojego narodu i rządu oraz bohater-ska walka z okupantem.

I niech nikt nie usiłuje mydląć oczu, że idzie tu o jakąś walkę na płaszczyźnie społecznej. W szeregach Polskiej Armii Krajowej walczą tysiące chłopów i robotników polskich. W chwili gdy słowa te są pisane, radio londyńskie przynosi odważny głos skrajnie lewicowej *Tribune*, dający wyraz zaniepokojeniu o losy żołnierzy Polskiej Armii Krajowej. Bo sprawa losu tych ludzi, to już nie tylko sprawa takich czy innych rozgrywek politycznych, ale po prostu sprawa ocalenia z pożaru obecnej wojny tych podstawowych zasad moralnych, poza którymi kończy się wszelka kultura, a zaczyna się dzungla.

I sprawa tych ludzi to także najpoważniejsza *test case* w stosunkach polsko-sowiec-

kich. Ostatecznie, wszelkie umowy można zawierać tylko z partnerem, o którym wiadomo, że się z nim znajdzie wspólny język przynajmniej na temat podstawowych zasad uczciwości i lojalności. W przeciwnym wypadku, przy nierównej proporcji sił, wszelka umowa musi się przerodzić z jednej strony w pełną samowolę, z drugiej — w tę uległość, która „jest psu zasługą, człowiekowi grzechem“.

Gra toczy się o naszą najwyższą i ostateczną stawkę, o to, czy państwo polskie — naprawdę niepodległe państwo polskie — będzie w ogóle istniało.

Ten bowiem rząd, który sprawuje w tej chwili władzę na ziemiach polskich, to nie jest rząd polski. Polskim jest on tylko z nazwy. Podobnie jak z nazwy tylko polskie są wychodzące tam gazety i tylko z nazwy polskie są te audycje radiowe, które nas stamtąd dochodzą. Słowa są tam polskie, ale cała postawa ideologiczna i atmosfera, którą słowa te przynoszą, stoją w jaskrawej sprzeczności z całą polską tradycją kulturalną i z najgłębszymi, najbardziej istotnymi naszymi nawykami myślowymi i uczuciowymi. Gorliwa czołobitność, nie znająca chwili wahań jednomyślność, wiecznie przyklejony do twarzy grymas entuzjazmu, ostra linia podziału między władzą, otoczoną aureolą doskonałości i nieomyślności, a jej oponentami, którzy zawsze muszą być zdrajcami, zbrodniarzami i sabotażystami, — wszystko to to nie nasz styl życia, nie nasze pojęcia godności człowieka i jego wolności. Słowa takie, wygłaszane w Warszawie, muszą drażnić ucho i bez względu na to, co by głosiły, — muszą prowokować do buntu.

Jeśli Rosjanie chcieli wprowadzić u siebie taki styl życia, to ich sprawa. Nic nam do tego. Ale u siebie go nie chcemy. Ten styl

życia może mieć historyczne i gospodarcze uzasadnienie u nich, w Rosji. Przeniesiony do Polski, jest okrutnym gwałtem na kulturze i narodzie polskim. Wyrósł on z pewnej swoistej tradycji rosyjskiej, której na imię jest nie tylko Lenin, ale i Bizancjum, i Iwan Groźny, i Piotr Wielki. Myśmy nie nieli w naszej historii ani Iwana Groźnego, ani Piotra Wielkiego. Lepiej to czy gorzej, — długo by na ten temat przyszło dyskutować. Faktem jest, że inni ludzie i inne prądy kształtowały naszą rzeczywistość. W czasie gdy Iwan Groźny żelazną pięścią oprzeżył wbił w twarde łby bojarskie naukę o nowym państwie moskiewskim, szlachta polska rzucała swemu elektowi dumne: „jeśli nie zaprzysięgniesz naszych praw, nie będziesz nad nami panował“ — „si non jurabis, non regnabis“. W czasie gdy pułki Suworowa szły przez przełęcze alpejskie gasić w Europie pożar rewolucji francuskiej, legie polskie były w awangardzie rewolucyjnych podpalaczy. Nie wolno też zapominać, że te metody rządzenia i hasła propagandowe, jakie panują dziś w Rosji, wykształciły się nie tylko w Moskwie i w Leningradzie, ale nad Jenisiejem i nad Amu-Darią. Czyż trzeba tłumaczyć, że hasła, które mogą być skuteczną bronią propagandową w Turkmenii albo w kraju Jakutów, nad Wisłą i Wartą będą ponurą bzdurą?

Jesteśmy inni od Rosjan i chcemy innymi pozostać. Gdybyśmy nie chcieli, musieliśmy przestać być sobą. Samounieść się.

I niech nam nikt nie mówi, że ma to coś wspólnego z walką „postępu“ z „reakcją“, prawicy — z lewicą. Polskę trzeba głęboko przeorać plugiem reform społecznych, ale plugiem tym muszą kierować polskie ręce. Reformy społeczne to jedno, a gruntowanie

W numerze:

J. Larren-Lenczowski: Listy z Persji. — K. Pruszyński: Wspomnienia normandzkie, II. — K. Grzybowski: Dyskusja o demokracji. — Wśród książek. stw.: System atlantycki. — J. Pomian: Dziewiąty cud świata. — M. Pruszyński: Lotnictwo polskie nad Europą w lecie 1944 r. — M. Kuncewiczowa: Zmowa nieobecnych. Cz. III. — R. O. Smith: Anglia, widziana oczyma swoich pisarzy. — Scrutator: Polonica w książkach angielskich. — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — J. Martyka: Kronika filmowa. Młody porucznik i stary generał. — ww.: Przegląd polityczny. — Z prasy obcej.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

DRZEWO ROZPACZAJĄCE

Oto zima jerozolimska

w deszczu i w wietrze.

Zrzadka przez chmury się przetrze

promień i trwóźnie błyska.

A wtedy pradawny gród

oślepia bielą budowli,

syci oko zielenią soczystą

i w modrość nurzając się czystą,

dziesiątkami świątyń się modli

dziękczynnie za upust wód.

Getsemani, Góro Oliwna,

Dolino Józefata,

ciche cmentarze, —

jakaż to siła dziwna

z wami czekać mi każe

na koniec świata?

Spróchnięją i moje kości

pod jakąś grobową kryptą,

lecz dziś — widzę — przeczy nicości

cmentarny eukaliptus.

To drzewo, bite przez deszcz i wiatr,

szamoce się w strasznej męce,

wyciągając bezradnie w świat

rozchwiane, zielone ręce.

Drzewo szumi, — to jego płacz,

zawodzenie, jęk wniebogłosy.

Tak samo płaczka rozdziera płaszcz

i popiołem posypuje włosy.

Drzewo włosy tarza po ziemi

i znów podnosi ramiona,

aby się modlić słowy bluźnierczemi,

kląć modlitewnie: „Adonai !...“

Drzewo, po ziemi tarzające łbem

i w buncie rozpaczające,

ja z tobą, drzewo, szumię jednym tchem,

najsamotniejszy pod słońcem:

i mną też szarpie napastliwy wiatr,

do ziemi zgina ulewa,

dwa lata wrastam w twój zamarły świat,

gnę się, prostuję i — śpiewam !

Nie wiem, gdzie kiedyś całkiem wrosnę

w grunt,

gdy przyjdzie mi kości złożyć,

lecz niech mi śpiewa swój ból i swój bunt

takie drzewo, podobne do brzozy.

w kraju pod pozorem reform obcego panowania — to zupełnie inna sprawa. Radykalizm społeczny rządu lubelskiego odgrywa tu rolę takiej samej zasłony dymnej, co w wieku XVIII obrona dysydentów przez mocarstwa rozbiorowe (z których nb. jedno umiało z troską o tolerancję dla protestantów przed rozbiorami pogodzić straszliwy ucisk unitów po rozbiorach).

Podobnie, niech nam nikt nie mówi, że będąc innymi od Rosjan, nie możemy utrzymywać z Rosjanami przyjaznych stosunków sąsiedzkich. Nie ma takiego rządu polskiego, który by za swe naczelne zadanie nie uważał nawiązania dobrych stosunków sąsiedzkich z ZSRR, po prostu dlatego, że nie ma takiego rządu polskiego, który by się nie uważał odpowiedzialnym za losy narodu polskiego. Państwo polskie nie stanowi dla Rosji groźby. Odrzuciliśmy projekty krucjaty antyrosyjskiej wtedy, kiedy ster polskiej polityki zagranicznej był w ręku płk. Becka, absurdem jest przypuszczać, że poszlibyśmy na podobne kombinacje dziś, kiedy między Polską a Niemcami wykopana jest przepaść krzywdy nie do zasypania.

Co więcej, społeczeństwo polskie dało w ostatnich miesiącach tej wojny świadectwo dobrej woli współpracy z Rosją czymś więcej niż deklaracjami i zapewnieniami, bo czynem, i to takim czynem, za który płaci się krwią. Powstanie warszawskie wybuchło w rezultacie apeli moskiewskich i wybuchło jako akcja uzupełniająca ofensywy sowieckiej, która wtedy właśnie, w sierpniu ub. r., podeszła pod Wisłę. Niestety, ręka wyciągnięta wówczas do zgodnej współpracy, zawisła w powietrzu. Gorzej, ręka ta opadła skrwawiona.

Inicjatywa takiego czy innego ułożenia stosunków polsko-sowieckich leży w ręku sowieckim. I trzeba sobie powiedzieć, że jest bardzo mało szans po temu, aby Rosjanie gotowi byli pójść na uczciwe ułożenie wzajemnych stosunków sąsiedzkich, takich, które by mogły być naprawdę podstawą przyszłej pokojowej i przyjaznej współpracy obu narodów. Wino zwycięstwa to mocne wino i łatwo idzie do głowy, a Rosjanie odnoszą teraz w Polsce i we wschodnich prowincjach Rzeszy wielkie zwycięstwa. Wszystko wskazuje na to, że będą dążyli do stosowania w Polsce polityki „silnej ręki“, t. zn. polityki rządzenia Polską przy pomocy gotowych na wszystko i zawsze posłusznych manekinów.

Nie trzeba podkreślać, jakie niebezpieczeństwa polityka ta kryje na przyszłość. Rządzony w myśl zasad, które są wrogie jego najgłębszym i najelementarniejszym instynktom, naród polski będzie się przeciw takiej władzy i przeciw takim rządóm zawiązywał i desperacko bronił. W tych warunkach zrywy powstańcze, nawet jeśli by miały być tak samo skazane w zarodku na niepowodzenie, jak powstania z r. 1831 i z r. 1863, będą tak samo jak tamte nieuniknione. I w tych warunkach utrzymanie Polski może się okazać dla Rosji zadaniem bez porównania trudniejszym i kłopotliwszym od samego jej zdobycia. A przecież dla Rosji, która się w tej wojnie straszliwie skrwawiła i wyszła z niej straszliwie zrujnowana, najbliższe kilkanaście lat pokoju to sprawa życiowej doniosłości.

Czy Rooseveltowi i Churchillowi uda się wytłumaczyć Stalinowi, aby zawrócić z tego zakrętu, na który wkroczyła jego polityka polska? Historia dostarcza nam po wielokroć przykładów, że rozwiązania, oparte na poszanowaniu cudzej odrębności i woli wolności, okazywały się na dalszą metę jedynymi rozwiązaniami mądrymi i gwarantującymi trwałą pokój. W każdym bądź razie jedno jest pewne: jeśli Rosjanie nadal po tej niebezpiecznej — nie tylko dla nas — linii pójdą, niejednokrotnie przyjdzie im powtórzyć w odniesieniu do sprawy polskiej historyczne już dziś słowa wicekomisarza Merkulowa :

My sdielali bolszuju oszibku.

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

L I S T Y Z P E R S J I

Księga z tamtej emigracji

„Zechce łaskawie Wasza Cesarska Mość wybaczyć moją śmiałość, iż wkraczam w cenny czas W.C.M., jak również zwrócić łaskawie uwagę na treść niniejszego listu i na egzemplarz *Polaków* (powstały z połączenia trzech tomów), który ośmielałem się złożyć u nóg Waszej Cesarskiej Mości, a którego jestem autorem”.

Słowa powyższe są wstępem do listu, napisanego w r. 1873 przez hr. Henryka Krasieńskiego do szacha Nasser-ed-Dina, w języku angielskim na paru pierwszych białych kartach książki, noszącej tytuł *The Poles in the Seventeenth Century*, a wydanej początkowo po francusku w r. 1836 w Paryżu, p. o. *Bataille de Korholm*. Nie wiadomo, czy książka ta dotarła do adresata. Kilkanaście dni temu została ona przypadkowo odnaleziona w bibliotece Ambasady Brytyjskiej w Teheranie. Egzemplarz teherański stanowi unikat ze względu na osobisty list autora do ówczesnego władcy Persji. List ten to swego rodzaju curiosum. Utrzymany jest w tonie „namaszczonego” i zawieszony jego kwiecistego stylu sprawia nieco trudności czytelnikowi XX w. Jego ogólny ton harmonizuje z tonem samej książki, która, stanowiąc studium historyczne, zawiera jednakże pewne momenty emocjonalne, jak np. zdanie, iż naród polski cierpi obecnie „*under Muscovite oppression*”.

W liście swym do szacha Krasieński pisze: „Treść tego dzieła może nie tylko przyczynić się do pomyślności Persji, lecz może także zwrócić uwagę wielkiego umysłu na zwyczaje, maniery i bezkresną gościnność wojowniczego narodu, jeszcze nie złamanego, lecz jęczącego obecnie w prochu, jak również — na rysy biograficzne jego tak sławnych wodzów, iż jeden ze Szlachetnych Prządaków Waszej Cesarskiej Mości gratulował im z powodu ich wspaniałych zwycięstw”.

W dalszym ciągu Krasieński wyraża przypuszczenie, iż jego nazwisko nie jest zapewne zupełnie nieznane szachowi, a to ze względu na jego dwa melodramaty, których egzemplarze ofiarował poprzednio szachowi za pośrednictwem perskiego ambasadora w Londynie. W jednej z tych sztuk, — pisze Krasieński, — w melodramacie „Ogrodnik, sułtan i odaliska”, poświęcił on rozdział Persji, radząc jej tam zawrzeć wieczny pokój z Anglią.

Traktat pokoju — stwierdza nie bez satysfakcji Krasieński — został istotnie zawarty. W parę zaś lat potem ambasador perski w Londynie otrzymał nowe dzieło Krasieńskiego *The Cossacks of the Ukraine*. W dziele tym zaś znajduje się rozdział o rodzinie Krasieńskich, „*strange to say*, — mówi autor — *not unconnected with Persia*”.

Skarżąc się na to, iż wielu prenumeratorów jego książek już nie żyje, Krasieński zwraca uwagę szacha na rozdział o Chiwie i na radę, jakiej udziela on książętom indyjskim, by byli wierni Anglii. Dalej pisze: „prawie wszystkie moje dzieła są polityczne, wojskowe i prorocze... przychylne dla Turcji i dla wszystkich narodów Wschodu, których ściśle zjednoczenie jest bez wątpienia pożądane dla szlachetnych celów”.

Stwierdziwszy, iż wszystkie jego książki były pisane pod dyktando sumienia, a nie interesu, Krasieński przypomina, iż jest autorem opublikowanego w r. 1845 *Coup d'oeil sur l'Etat actuel de l'Europe*, które to dzieło przyczyniło się, — jego zdaniem, — do zniesienia poddaństwa w Europie, uwolnienia murzynów w Ameryce i jednocześnie „w pełni ujawniło ultra-demokratyczne absurdy w życiu praktycznym”.

Następuje krótki ustęp autobiograficzny, w którym m. in. czytamy, iż autor stał się dożywotnym emigrantem za to, iż walczył „wiele lat temu za prawa Polski, przeciw Rosji, wśród niezwyklej okoliczności”, i że dobrowolnie przyjął obywatelstwo brytyjskie, gdyż kocha Anglię.

W tym miejscu autor przechodzi do spraw ogólnych, „*to other topics*”. Tym „*other topic*” jest Persja, o której pisze, iż jest ona położona między dwoma olbrzymami: Rosją i Anglią. „Chociaż Wasza Cesarska Mość — czytamy — jest obecnie w stanie pokoju z oboma, nie ulega wątpliwości, iż jedynie serdeczne porozumienie z Anglią, której interesy są przychylnie Persji, naturalnemu aliantowi Anglii, może ochronić Persję przed niebezpieczeństwem i zapewnić jej po wsze czasy trwałą pomyślność”.

„Anglia, — czytamy dalej, — która miłuje Persję, jest najpotężniejszym narodem. Posiada ona olbrzymie skarby, najlepszą marynarkę i najlepszych żołnierzy w świecie. Podbiła ona wszystkie narody i będzie je podbijać ponownie, w każdym czasie”.

Dalej mamy ustęp, który brzmi nieledwie proroczo. Cytujemy go w całości:

„Jeżeli zatem jacyś PRAWDZIWI POLACY, którzy są teraz rozproszeni po całej kuli ziemskiej, przybędą przypadkiem do Persji, spodziewam się, iż Wasza Cesarska Mość udzieli im schronienia i gościnności i pozwoli im zbudować kaplicę rzymsko-katolicką, która mogła będzie służyć także katolikom innych narodowości. Chociaż nawet wśród kleru polskiego mogą się znaleźć źli ludzie, tym niemniej, biorąc ogólnie, Kler Polski jest najbardziej patriotyczny i cnotliwy na świecie”.

Dziwne zaiste budzi budzi refleksje ten

list, pisany w zeszłym stuleciu przez arystokratycznego emigranta polskiego. W chwili gdy Krasieński pisał swe słowa, nie myślał on zapewne o tym, iż w siedemdziesiąt lat później znajduje się na ziemi Cyrusów i Kambyzesów „prawdziwi Polacy”, może nawet prawdziwsi, niż on sam, dumny ze swych międzynarodowych skłigaczeń, — Polacy, wyrwani z ziemi, do której przyrosli, Polacy, których już nikt uczciwy nie może nazwać „reakcją”, — polscy chłopci, ich siostry, żony, matki, dzieci. A z drugiej strony, — jakże aktualne są dziś polityczne uwagi Krasieńskiego na temat Persji: Persja między dwoma olbrzymami, Persja, której najgłębszy interes każe dbać o przyjaźń z potęgą brytyjską..

„Polaków wyrwa się z ich ognisk domowych, Polaków się fizycznie eksterminuje, jednak imponują oni światu hartem swego ducha i swymi duchowymi osiągnięciami”, — cytuję tutaj słowa, wypowiedziane przez przedstawiciela irańskiego Ministerstwa Oświaty do grupy pedagogów polskich w trakcie przyjęcia, zorganizowanego dla nich przez Wydział Pedagogiczny Uniwersytetu Teherańskiego. Słowa te nie były zdawkową grzecznością. Wynikły one ze szczerego podziwu Irańczyków dla pracy nauczycielstwa polskiego w Iranie i dla organizacji i poziomu polskiego szkolnictwa, powstałego z dala od kraju w niezmiernie trudnych warunkach.

Skoro już mowa o polonicach irańskich, to dodajmy, że komplementy, wypowiedziane pod adresem Polaków byłyby na pewno jeszcze większe, gdyby goście irańscy widzieli i rogił zrozumieć pokaz druków polskich, zorganizowany w początku stycznia przez Towarzystwo Studiów Irańskich. Oglądając ekspozycję pokazu (specjalnie tak nazwanego, by nie nadużywać szumnego słowa „wystawa”), nie można się oprzeć wrażeniu płodności intelektualnej naszego narodu. Nie jest moją intencją pisać o sprawach polskich w tonie łzawo-entuzjastycznie-radosnym i twierdzić, że wszystko co polskie, to najlepsze, i że nikt z nami równać się nie może. Jednak ten skromny pokaz druków, wydanych w latach 1942—1944 w Iranie, nie jest wcale tak bardzo skromny. Znajdujemy tam kilka kompletów polskich czasopism, jak „Zew”, „Polak w Iranie” czy „Głos Polski”, szereg jednodziówek lub sporadycznych czasopism politycznych; znaczną ilość wydawnictw religijnych, katolickich i prawosławnych, wydanych przezważnie przez duszpasterstwa; widzimy interesujący zbiór podręczników, przeważnie odbitych na powielaczach, dla szkół i licznych kursów wyższych, organizowanych na przestrzeni dwóch lat w Teheranie; jest wreszcie także interesujący dział wydawnictw w językach obcych, wśród których figurują prof. Kościłkowski *L'Iran et la Pologne a travers les siecles*, periodyk polityczny *La Nouvelle Europe* i ostatnio wydana w języku perskim książka *Lechistan*, nie mówiąc o innych, pomniejszych. Są też i kalendarze, i ogłoszenia polskich firm (bo i takie także istnieją), i programy polskich koncertów, i zaproszenia na polskie wystawy, katalogi, obwieszczenia o ewakuacji i poborze do wojska, jest nawet, — o czym nawet pewno Krasieńskiemu się nie śniło, — parojęczny plakat o meczu footballowym między reprezentacjami Polski i Persji. Dla przyszłego badacza dziejów emigracji są to niesłychanie cenne dokumenty. Niektóre z nich, to już nawet „białe kruki”, jak np. drugi numer „Polaka w Iranie”, jedyny, jaki zdołano odszukać w Iranie. Czasopismo to, na które nieraz narzekano z różnych stron, doczekało się stawy dopiero po śmierci. I tak niedawno Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych powiadomiła Poselstwo R.P. w Teheranie, iż komplet „Polaka w Iranie”, który był jej w swoim czasie przesłany, jest obecnie fotografowany, strona po stronie, a to dlatego, iż będąc interesującym dokumentem, jest on wydany na zbyt lichym papierze, by móc przetrzymać dłuższy okres czasu.

Nasze dzisiejsze polonica zaczęliśmy od prorocztwa, a kończymy na pośmiertnej sławie. Cykl taki wydawałby się dość logiczny, lecz mógłby zarazem wzbudzić smutne refleksje. Pocięliśmy się, że pośmiertna sława dotyczy tylko czasopisma, nie zaś całego wysiłku umysłowego polskiego uchodźstwa w Iranie. Ten wysiłek umysłowy nie ustał. Mamy szkoły, produkujemy podręczniki, uczymy się na kursach z myślą o przyszłości, wygłaszamy naukowe referaty w Towarzystwie Studiów Irańskich, publikujemy czasopisma i książki. Kształcimy się, kształcimy innych, tworzymy, nie zamieramy. I to wszystko dzieje się w ośrodku polskim, który ma zaledwie 20 procent inteligentów z cenzusem. Słowa Henryka Krasieńskiego o narodzie „jeszcze nie skruszonym” są tak samo aktualne dziś, jak były sto lat temu, gdy pisał on swą książkę.

Emancypacja prasy irańskiej

Płodność dziennikarska Persów jest zadziwiająca. W ciągu dwu i pół lat od czasu abdykacji szacha Rezy ukazało się w samej

* Podkreślenia i pisownia reprodukowano według oryginału.

stolicy Iranu około 150 dzienników i czasopism. Niektóre z nich miały żywot krótki, inne przeszły reinkarnację, t. zn. zmieniły tytuły po konfiskatach, inne ostatecznie utrzymały się i wychodzą mniej więcej regularnie. W chwili obecnej ilość zarejestrowanych dzienników w Teheranie dochodzi do stu, pojawiają się wciąż nowe. Dla mało obeznanego z obyczajami irańskimi ta niesłychana płodność jest niezrozumiała. Jak to, naród o tak kolasalnym analfabetyzmie, o znikomym odsetku inteligencji, naród, którego przedostatni monarcha sam nie był mistrzem w nauce czytania i pisania, produkuje raptem tak imponującą cyfrę czasopism? Sprawa na pozór wygląda zagadkowo, staje się jednak zrozumiała, gdy się weźmie pod uwagę psychologiczną stronę przemian, jakie nastąpiły w Iranie od czasu wkroczenia wojsk brytyjskich i sowieckich i idącej za tym abdykacji szacha Rezy na początku września 1941 r.

Ustąpienie autokratycznego monarchy, który przez lat blisko dwadzieścia nie dopuszczał wolności prasy, wywołało wśród inteligentów irańskich od dawna tłumioną potrzebę wypowiedzenia się. Powstało coś w rodzaju vacuum politycznego, które starano się wypełnić w sposób dość chaotyczny i nieskoordynowany. Ambitni młodzi ludzie, którzy nieraz kształcili się na Zachodzie, ujrzeli nareszcie szansę wyjawienia swych poglądów politycznych i — być może — dojścia do władzy. Starsi politycy, którzy zawdzięczali swe kariery łasce byłego szacha lub intrygom politycznym dawnego reżimu, poczęli szukać w słowie drukowanym nowego środka utrzymania się przy władzy, traktując pisma przez siebie zakładane nie tyle jako organy ruchu, czy programu politycznego, lecz raczej jako środek osobistej, nie zawsze zbyt dżentelmeńskiej polemiki. Trzecia kategoria, to poławiacze ryb w mętnej wodzie, — ludzie, posługujący się pismem celem szantażu. Inna jeszcze kategoria — to ludzie określonego programu politycznego, zakładający i prowadzący pisma według z góry nakreślonych instrukcji, pochodzących nieraz od zewnętrznego ośrodka dyspozycji. Brak w tym wszystkim natomiast prawie zupełnie pism informacyjnych, obliczonych na duży nakład w celach dochodowych. Tę rolę spełnia właściwie tylko dziennik *Etleat*, którego nakład osiąga cyfrę kilkunastu tysięcy egzemplarzy, wraz z tygodniowym wydawnictwem ilustrowanym *Etleat* *Haftgi*, oraz wydawany w języku francuskim *Journal de Téhéran*, który jednakże w znacznej części zawdzięcza swe istnienie temu, iż należy on do tego samego właściciela, co oba poprzednio wymienione pisma. Inne pisma mają nakłady śmiesznie małe jak na warunki zachodnie: 900, 500, czasem tylko 300 egzemplarzy.

Drugim zasadniczym czynnikiem, wpływającym na mnogość i różnorodność organów prasy, jest fakt wielkiego indywidualizmu Persa. Jeżeli się mówiło, że gdzie trzech Polaków, — tam cztery partie polityczne, to przysłowie to tym bardziej można by zastosować do Irańczyków.

Trzeci czynnik — to małe jeszcze stosunkowo wyrobienie polityczne Irańczyków, dla których demokratyczna swoboda wypowiedziania się jest czymś nowym. Stąd też obserwujemy rozproszkowanie polityczne prasy lub też powtarzanie prawie identycznych programów politycznych przez różne dzienniki. Programy te nie wychodzą zresztą na ogół poza ramy ogólników, takich jak podniesienie dobrobytu ludności, ulepszenie oświaty, uporządkowanie finansów i t. d.

Poziom dzienników, nawet tych, które są redagowane przez bardzo starannie wykształconych ludzi, nie jest wysoki. Dział informacyjny jest zazwyczaj niedokładny, — Wschód nigdy nie grzeszy dokładnością, — i nieraz zawiera wiadomości bardzo spóźnione. Tak np. *Journal de Téhéran* z reguły podaje depesze agencyjne w dwa dni po nadaniu ich przez radio. Niektóre wiadomości, dotyczące spraw odleglejszych, tracą często naiwność. W dziale polemicznym dzienniki używają na ogół języka bardzo gwałtownego, a niejednokrotnie obraźliwego. Epitety, jak „złodziej”, „zdrajca” i t. p., są na porządku dziennym. Kurtuazyjne wyrażenia prasy zachodniej są tu prawie zupełnie nieznane.

Strona techniczna także nie wygląda najlepiej. Dziennik ma opinię regularnego, o ile wychodzi 4—6 razy w tygodniu. Na nieregularność mogą wpływać różne przyczyny: np. brak prądu w dzielnicy miasta, gdzie się mieści drukarnia, defekt w maszynie drukarskiej, konfiskata.

Jak wygląda meritum wiadomości i polemik, ogłaszanych w prasie?

Trudno jest odpowiedzieć w dwóch słowach na to pytanie. Prasą irańską przeszła w ciągu przeszło dwóch lat poważną ewolucję, podobnie jak i liczne ugrupowania polityczne Iranu. Na początku był chaos. Staranny nawet i wnikliwy czytelnik gazet irańskich mógł jeszcze półtora roku temu dość słabo zorientować się, w jakich kierunkach idzie myśl polityczna tego kraju po abdykacji szacha Rezy. Wśród mozaiki różnych poglądów i programów można było tylko jasno odróżnić parę dzienników komunistycznych, głoszących stale jednakowe hasła i używających ustalonego słownika. Powoli zaczęły się rysować grubsze

kontury dzienników, nieprzychylnych komunistom. Dzienniki te były na ogół zgodne co do negatywnego stosunku do partii komunistycznej, znacznie jednak różniły się, jeżeli chodzi o pozytywne ustosunkowanie się do tych czy innych zagadnień czy personalistów. Pośrednią grupę stanowiły dzienniki, które z komunizmem nie miały nic wspólnego, jednak oprócz malkontentstwa z istniejącego stanu rzeczy nie zdołały nigdy wykrzesać jakiegś bardziej twórczej myśli czy programu. Większość prasy była natomiast zgodna co do krytyki każdorazowego rządu irańskiego. Tutaj dzienniki komunistyczne prześcigały się z narodowymi lub „obojętnymi” pismami w ostrych atakach na nieudolność rządu, na korpucję administracji, na nieumiejętność naprawy fatalnej sytuacji ekonomicznej. Taki stan rzeczy trwał przez czas dłuższy. W ciągu ubiegłego roku doszło jednak do nowych przemian. Nastąpiła większa krystalizacja przekonań politycznych. Poza tym niektóre zainteresowane czynniki poczęły prasę organizować. Tak też na początku ubiegłego roku powstał t. zw. front pokoju, grupujący przede wszystkim dzienniki komunistyczne, a ponadto szereg dzienników, głoszących hasła bardziej postępowe. Początkowo front pokoju liczył kilkanaście dzienników. Była to jednak organizacja dość luźna i pływająca. Po pewnym czasie część dzienników wystąpiła z frontu, przy tym niektórzy redaktorzy ogłosili otwarcie, iż czynią to dlatego, iż nie solidaryzują się z ruchem komunistycznym. Powstały natomiast nowe dzienniki i te zgłosiły swój akces do frontu. Wspólna działalność frontu o graniczyła się na ogół do sporadycznych manifestów, ogłaszanych we wszystkich dziennikach frontu. Poza tym dzienniki te przejawiały wszystkie pewną określoną tendencję.

Z czasem wzrosła liczba dzienników, otwarcie komunistyczne, i dwa tygodniki, nie mówiąc o innych, afiliowanych.

Charakterystyczną cechą wszystkich czasopism irańskich była przez dłuższy czas zasadnicza powściągliwość w sprawach polityki zagranicznej. O ile prasa używała sobie, ile się da, na sprawach wewnętrznych, o tyle problemy zagraniczne stanowiły rodzaj tabu. Zresztą, jeżeli chodzi o przeciętnego czytelnika irańskiego, niewiele go to prawdopodobnie bolało. Ten stan rzeczy nie mógł być przypisany wyłącznie cenzurze, która w tym wypadku jest wyłącznie perską i działa post factum. Istniała widoczna niechęć prasy do omawiania zagadnień śliskich, a jednocześnie odległych, na które Iran i tak pewnie nie miałby wpływu. Bardzo rzadko jakieś pismo odezwano się bezpośrednio o Anglii, Ameryce lub Rosji. Jeżeli już do takich tematów doszło, to mówiono ostrożnie „*allianci*”, rozumiejąc załże nie od okoliczności tę lub inną stronę. W ciągu ostatniego dwuiccia było wprawdzie parę spraw, w których opinia publiczna była głęboko poruszona, a które niewątpliwie dotyczyły obcych mocarstw, jak np. sprawa dostawy zboża do Iranu lub sprawa dra Mills-paugh, amerykańskiego doradcy finansowego, jednak ataki i polemiki prasy ograniczały się przeważnie do wewnętrznego aspektu danej sprawy. Ktoś, patrząc z daleka na ten pozorny pokój, a wiedzący o istnieniu organów komunistycznych i — powiedzmy — narodowych, mógłby ten stan rzeczy uznać za milczący rozejm lub za spokój przed burzą. I nie pomyliłby się.

Rozejm ten bowiem został zerwany mniej więcej na przełomie października i listopada ub. r. Przyczyną zerwania była sprawa koncesji naftowej. Po słynnym wywiadzie, udzielonym prasie irańskiej przez sowieckiego „ambasadora naftowego”, wicekomisarza Kawtaradze, w którym krytykował on wobec prasy jej własny rząd i stwierdził, iż wobec odmowy udzielenia koncesji Sowietom, ZSRR nie może utrzymywać z ówczesnym premierem i jego gabinetem żadnych stosunków, rozpoczęła się istna burza. Wszystkie dzienniki komunistyczne i afiliowane zaczęły nawoływać do otwarcia na udzielenie koncesji, wszystkie inne wypowiadały się przeciw. Posypały się wzajemne oskarżenia, przezwiska i pogrożki. Front pokoju ogłosił ponownie swą listę, która tym razem obejmowała już trzydzieści pism. W odpowiedzi powstał „front niepodległości”, skupiając jeszcze większą liczbę dzienników. We „frontie niepodległości” prym zaczęły wodzić dzienniki pro-angielskie, Se-jeda Zia ed Din Taba Tabai, byłego premiera Iranu sprzed lat dwudziestu, a emigranta politycznego za czasów szacha Rezy.

Co najważniejsze jednak, polemika przeniosła się zdecydowanie z terenu wewnętrznego na zewnętrzny. Trwa ona do dziś dnia i nie widać oznak załagodzenia burzy, choć sprawa nafty już przestała być bezpośrednio aktualna. Organy komunistyczne nie krepują się w używaniu takich terminów, jak „imperializm” w stosunku do innych mocarstw, zaś organy narodowe oskarżają północnego sąsiada wręcz o chęć pozbawienia Iranu niepodległości. Coraz częściej dają się też słyszeć głosy, cytujące Kartę Atlantyczną, Cztery Wolności i domagające się prawa samostanowienia wszystkich narodów, jak również sprawiedliwego pokoju. Iran, *no lens volens*, wkroczył na ścieżkę, na której nie znalazły wszyst-

(Dokończenie na str. 4-ej)

KSAWERY PRUSZYŃSKI

WSPOMNIENIA NORMANDZKIE

Rano zagląda pod nasz czołg jakaś skądś mi znana twarz. Od razu, choć jej jeszcze nie poznaję, budzi niemiłe asocjacje. Skąd ja go znam? Zagląda raz i drugi. My niby to śpimy, owinięci w koce. On znowu zagląda. Teraz wiem, Semeniu. Tu ten starszy strzelec, z hiszpańskiej wojny rodem, co wczoraj ustąpił mi miejsca. Semeniu. Zupełnie zapomniałem o jego istnieniu. Nie było go wczoraj wieczór, bo sanitarki, do których żeśmy go odesłali, zostały gdzieś w tyle. Ale teraz koło czołgów zjawiały się sanitarki — i odnalazł się Semeniu.

Co gorsza, Semeniu nie ma najmniejszej ochoty wracać do sanitarek. Nie czekając na śniadanie, zabrał się do czyszczenia *bing*; podobno, jeśli wierzyć kierowcy Mikołajczykowi, nigdy jeszcze tyle dbałości o swą broń nie wykazał. Guzdrzemy się przy ubieraniu i śniadaniu. Porucznik Rożek odwleka decyzję; ale jest jasne: pojedzie czołgiem Semeniu. Nie, za nic nie chce do sanitarek. Cały dzień nie mu jeść nie dali, i w ogóle. I albo jest strzelcem przednim w tym właśnie czołgu, albo nie. Załoga jest niezdecydowana. Już i ze mną się zżyli, a i Semenika lubią. Gdyby tak można było wziąć obu. Ale, niestety, czołg — nie sztab, gdzie można wmontować jeszcze i dziesięciu nadprogramowych brząkaćków, nie rada ministrów, gdzie można zaiwanąć ministrów ad uspiendam mortem, nie podwieczorek u cioci Frani, gdzie zawsze jeszcze się znajdzie filizanka i ciastko dla jeszcze jednej Malinki, Bubusi, czy Ciupciusia. Albo Semeniu, albo ja. I są niepisane, ale święte prawa czołgu. Nie zżamie ich żaden rozkaz. Załoga to komuna. To całość. Nie rozbija się załóg. Semeniu to załoga.

I Semeniu, a nie ja, ładuje się do Stuarta. Rożek coś mi tłumaczy. Już chcę mu powiedzieć: „Dobrze, dobrze. Ze mną mieliście szczęście, zobaczmy, jak będzie beze mnie”, ale wiem, że wezwano ich już do przodu, że idą na zadanie, — a wtedy nie robi się głupich dowcipów. (Dobrze zrobił!) Za chwilę trzy czołgi plutonu podjeżdżają na gazie pod stok, — jeszcze chwila, znikają za nim. A stamtąd dolatują już strzały. Obudziła się, widać, linia.

Tam, gdzie przed chwilą stały czołgi, pozostały te sanitarki. Zawsze jednak część pułku. I to ważna. Ksiądz, lekarz i wachmistrz-szef. Księżka znam. To ks. G., z takiej nobliwej, galicyjsko-ziemiańskiej rodziny, dobry akcent frhancuski, koligacje, panie dzieju, maniery, drzewo genealogiczne, sięgające króla Kanuta (duńskiego). Pamiętam go ze Szkocij. Lekarz jest młody, cichy człowiek, okazuje się, Żyd z pochodzenia. Studia odbywał zagranicą. Rozumiem, wiem. I tak stoję sobie na tym rzysku, patrzę na rozwalony kościół w Cauvicourt, i myślę: Mój Boże! Iluż to ja znałem takich Żydów, co mieli dostęp do wydziałów medycznych zamknięty! A jednocześnie całe powiaty polskie były bez lekarzy! I teraz ten Żyd, któremu Polska nie dała wstępu na swe uniwersytety, będzie gdzieś w Normandii, w pierwszych liniach opatrzywał polskich żołnierzy. Może opatrzy jeszcze i jakiego oenerowca, który z palicą biegał przez całą jesień, wołając „precz z Żydami!” Czemu nie? Latwo może się to zdarzyć. Zapytuję lekarza, gdzie studiował? Montpellier? Bo peño Żydów z Polski studiowało w tamim Montpellier. Ale okazuje się, że nie w Montpellier. W Bolonii. Mój Boże, w Bolonii. Bolonia była w faszystowskich Włoszech. Polska nie była faszystowskim krajem. Włochy miały peño lekarzy; Polska — bałkańsko mało. I oto z niefaszystowskiej Polski szli polscy obywatele mojeszowego wyznania do faszystowskiego państwa, które nie zamykało przed nimi wrót wiedzy. Skojarzenia nie są zbyt świetlane. Lekarz to pewno czuje, bo o tym milczy. Ma cichy, delikatny głos i jakiś uśmiech, pełen smutku. I godność. Rozumiem pana dobrze, poruczniku Weiszacker. Rozumiem pana. Wstyd mi za to, co było, choć z tym walczyłem, jakim mógł. I szanuję pana w tym mundurze polskiego podporucznika lekarza.

Ale naraz na lewy skraj naszych wozów pada pocisk, jeden, drugi, trzeci. Seria. Po pół minucie nowa, — bardziej w prawo. Po jeszcze pół nowa, — coraz bliżej nas. Część rzutu pułkowego A-1, — to, czym my jesteśmy, — zbiega w dół, w jar, gdzie są świeże doły po Niemcach jeszcze. Część odbiega w pole, w pszenicę. Niestety, trzecia z kolei seria poszła w dwa wozy. Jeden z nich się pali. Inne serie macają wybuchami puste po nas miejsce. Dostyc późno dowiedzieli się, że stały tu czołgi, no, ale zawsze poobtukiwali tabor sanitariuszy. Nie są to żadne wielkie wybuchy, wyrwy potem są minimalne, ale wali to szybko, masowo, precyzyjnie i rozprysk ma szeroki. Moździerz. Świetna to broń niemiecka, tania w produkcji, prosta w użyciu, znakomita, zupełnie nieznana właściwie w Polsce przed r. 1939. Leżą w pszenicy i przypominają się Hiszpania. Tam obie strony zalewały się potokami moździerzowego ognia. Dzięki temu właśnie pochód rzeźmieszka Franco i jego politycznych generałów był osadzony w miejscu. Czemu nas we wrześniu nie stać było na moździerz? Nie wiem.

Sanitarki, które jeszcze nie dostały, odjechały w bok od miejsca postoju; zostają

tylko ten wóz wywrócony i inny, który płonął jasnym płomieniem benzyny. Co chwila furczą nowe pociski moździerzy. Naraz — co to? Oto zaczynają się rozlegać naraz jakieś niesamowite dźwięki. Rańny? Nie. Zwierzę? Też nie. Jakies instrumenty dęte, jakby oszalała orkiestra i bardzo bliska. Podnosimy głowy. Ach, tak. W wozie, który płonął, był piękny, kilkolampowy aparat radiowy księdza kapelana. Dostał pewno odłamkiem, od gorąca pożaru zaczęły przepalać się w nim jakieś części, czy co — i naraz nieszczesny aparat rozleżał się na dziesięć fal i stacji naraz. Szaleńcza kakofonia. Jęki, syki, ryki i nagłe... wiedeński walczyk. Modry Dunaj. Tak, i modry Dunaj! Za chwilę jakiś głos gada po francusku, ale zaraz jęki, gwizdy, wycie. Przeciągłe wycia. Łabędzi śpiew palącego się radia.

Wspólna decyzja kapelana, lekarza i wachmistrza-decya postanawia, że nie ma tu na co dłużej czekać. Niemcy planowo przenoszą ogień, jak doktor, opukujący palcem płuca czy płuca pacjenta. Sanitarki muszą być poza zasięgiem; po chwili odjeżdżamy. Ja siadam obok wachmistrza-szefa, — ciemna buda sanitarki chwile się i tłucze po drodze nierównej, — potem jakiś mdły zaduch chwytą za gardło, — to mijamy wyludle Cauvicourt, gdzie pod gruzami domów pełno niemieckich trupów żołnierskich i francuskich cywilnych darmo czeka na lepszy pogrzeb. Cauvicourt jest jeszcze pod ogniem. Ale za Cauvicourt mającą już drzewa prosto wytkniętej szosy CAEN — FALAISE. Falaise, cel naszych wysiłków, Falaise, którego nazwa, tak zupełnie nieznana nam wszystkim, stała się tym, czym dla innych Monte Cassino, Ancona, Piedimonte...

Po drugiej stronie szosy na Falaise, tam gdzie sanitarki nasze stanęły taborkiem, jest prawie spokój. Łażą jacyś Szkoci i Kanadyjczy, wszystko w spodniach i koszulach, — *battle-dress* — kurtki na froncie tutejszym są rzadkością. Dużo wykopanych dołów umożliwiła ochronienie się przed pociskami. Obsługa sanitarek zabiera się do gotowania obiadu. Jest wprawdzie dopiero 10-ta rano, ale im wcześniej się na froncie gotuje obiad, tym większe są szanse, że go się jeszcze zje. W sanitarkach jest rozważny wachmistrz-szef, trzecia osoba tutejszej trójcy, i niezawodny, słuchający go pomocnik, młody kierowca, Polak z Francji. Wspaniały, jurny, błękitnooki byczek. Paru innych sanitariuszy nie darmo jeżdżiło w pobliże frontu. Znaleźli tam parę bezpieczeństwa kurczaków i zatroskali się nimi odpowiednio. Będziemy mieli prawdziwy rosół z kury, a do tego ziemniaki młode; do tego jam z puszek, *cidre* i koniak. Przypominam sobie żale Semenika i pytam:

— A czemuście wczoraj nie mieli?

Okazało się, że mieli.

— A Semeniu narzekał, że nie w ustach nie miał?

— Kto, ten kapral z czołgów? Rany boskie! — i zespół sanitariuszy poczynają rozpytywać się nad niegodziwością ludzką. Przecież go obkarmiali jak prosię przed Wielkanocą, a ten taką hańbę na nich ściga. Jeszcze tu prawda na świecie, jeśli nie ma jej nawet w czołgach?

Oburzenie jest szczere.

— No, dobrze, — powiadam, — ale czemuż by bujał?

— Panie poruczniku, — wyjaśnia wachmistrz, znawca duszy ludzkiej, — a to pan porucznik nie wie? Poszedł taki syn do sanitarek z rozkoszą, bo w czołgach myślą, że w sanitarkach bezpiecznie. Widział pan, jak do nas lali? To wczoraj jeszcze bardziej lali, a on się najwięcej bał. Nie chciał wam powiedzieć, że wraca do czołgów, bo się boi, to powiedział, że go głodem morzą!

Tu następuje długi wykład, z którego niezbitnie wynika, że nie ma miejsca tak bezpiecznego na wojnie, jak czołg, i bardziej narażonego na ciosy, jak heroiczna sanitarka. Bo czołg ma pancerny, pancerny! On nawet nie usłyszy, jak koło niego biją! A sanitarka? Każdy odłamek przebijają jej ściany. O, prawdziwi bohaterowie jeżdżą tylko sanitarkami.

Wiadomo, że rosół z kury jest już gotów, przerywa, rzecz jasna, te rozważania. Nagotowanej wody starczyło i na mycie się, i na herbatę, — wojna tutejsza nie posiada przynajmniej tych dolegliwości, co wojna na pustyni libijskiej. Przypominam się wyciągnąć pod krzakami. Kanadyjczycy koło nas chrapią tak donośnie, że można by przypuścić, że to odgłos jakiegoś nowego niemieckiego pocisku. Słonce rozgrzało się na dobre i można by zrobić to samo, gdyby nie uczucie dzisiejszej rannej porażki. Wyleciałem z czołgu! A tak to się ładnie wczoraj zapowiadało! Ha, trudno. W wojnie czasem długo szturmuje się jakąś pozycję, odzyskuje się ją i traci. Trzeba się starać odzyskać swoją, to wszystko. Gdzie oni są teraz, Rożek, Mikołajczyk, Semeniu? Jak się im tam wiedzie? A my tu w sanitarkach odpoczywamy o parę mil od nich. Może nawet o kilka. Powoli zaczynam szturmować o powrót na dawne miejsce. Czy dostaliśmy rozkaz opuszczenia go? Czy nasze czołgi nie poszły zbyt daleko do przodu? Ksiądz, dobrze wychowany, zaczyna od zapewnienia o mojej odwadze, a kończy na tym, że lepiej stać, gdzie jesteśmy;

II *)

doktor, — że czeka na wezwanie dowódcy pułku. Ale wachmistrz-szef wobec argumentu, że jeszcze potem dowódca pułku obiedzie nas solidnie za to, żeśmy się cały dzień gdzieś podziwiali, wyraźnie mięknie. W rezultacie bierzemy sanitarkę wachmistrza-szefa, dorodny byczek prowadzi, równy to chłopak, nie boi się pocisków. Mijamy znowu Cauvicourt, zjeżdżamy po odsłoniętej drodze w dół, i w krzaki koło pola, skąd nas rano wypłoszyły niemieckie moździerze. Widać dopalające się żałośnie szczątki księżowskiego wozu. Radio przestało już grać swe zwirowane melodie. Po drugiej stronie rowu — cztery czołgi. Nasze? Nasze. Załogi leżą w cieniu gąsienic. Ktoś wstaje. Rożek. Co to? Od rana wyrósł mu na czole wspaniały, krwawo-siny, dostojny guz. Dostojnie guz. Jak w szkole. Albo powieści.

— Ja, głupstwo, — mówi Rożek, — ale popatrz na tego zęza.

Zezuje Stuart Rożka. Nie wiedziałem dotąd, że czołg może dostać zęza. Okazuje się, że może. I to jakiego. Lufa działa czołgu jest odwrócona w lewo, i ani rusz, nie chce zmienić tej pozycji. Co się stało? Ano, Niemcy umocnili się dobrze na nowych pozycjach i szwadron dostał dobrego ognia. W pewnym momencie duży pocisk z niemieckiej osiemdziesiątki ośsemki wałnął w rożkowego Stuarta. Stuart ma słaby pancierz z wyjątkiem jednego jedynego miejsca. Miejsce tym jest podstawa wieży, — i właśnie w podstawę wieży wyrząnął pocisk. Nic jej nie zrobił, ale jednak przestała się obracać. Musieli odejść do tyłu. Zabawny jest widok czołgu, który jedzie, mając długą lufę swego działa, zezującą na bok.

Parę innych czołgów odpoczywa w dolince; załogi omawiają straty. Widzę Semenika. Okazuje się, że mój widok jest dla niego teraz znacznie miłszy niż rano. Semeniu uśmiecha się gościnie; widzę, że coś gada z Rożkiem.

— Wiesz, — mówi Rożek, gdy odjeżdżamy z jego Stuartem do warsztatów reperyacyjnych, — co mi właściwie powiedział Semeniu? Panie poruczniku, jakby porucznik Pruszyński chciał się ze mną zamienić, to dobrze, jabym poszedł do załóg rezerwowych...

Tak, ranna strzelanina niemiecka ogromnie poprawiła moje szanse. Ale popsza je pod pewnym względem. Nasz Stuart jedzie bowiem na szmelc. Zdemontują go, — nikt się nie będzie bawił w zawikie reperacje wieży. Nim Rożek otrzyma nowy czołg, upłynie parę dni. Tak, ale zato i załoga się zdekompletuje, ktoś odejdzie, inny doskoczy, zaczniemy potem od nowa.

Warsztaty reperycyjne rozłożyły się też koło drogi na Falaise, ale wyżej na północ, bliżej Caen. Jest wysokie *plateau*, jego części zajęła artyleria AGRY, — toteż huk nieopisany. Niczym wtedy, pod Caen. Ale zato warsztaty reperycyjne, prawdziwa sielanka. Co prawda stoi tam lub leży kilkadziesiąt samochodowych zwłok, ale poza tym wszystko tam w szortach, opala się, myje, gra w bridge'a, peño znajomych, jakiś kolega z Chyrowa, jakiś znajomy z Hali Gąsienicowej. Ot, — Polska.

W rezultacie jest już wieczór późny, kiedy wracamy na *scout-carez*. W miejscu, gdzie rano stały sanitarki, a popołudniu zastaliśmy przetrzącony czołg Różka, stoi teraz cały pułkowy rzut sanitarny. Jest ksiądz, jest doktor; będzie kolacja. Dwa nierozważne białe króliki kicają między wozami, wodząc na pokuszenie; biedactwa, pewnie uciekły z tego porąbanego Cauvicourt. Ale nie się im nie stanie. 10 PSK nie wypowiedział jeszcze wojny króliczemu narodowi. Zato bezpośrednio nie zajęci kuchaniem szperają w krzakach, w dołach niemieckich. Niestety, poza znaczną ilością listów od dziewczyn rozmaitej narodowości, niewiele się tam znajduje. Jest tylko kilka numerów niemieckiego tygodnika wojskowego, rodzaj naszej „Polski Walczącej” czy „Białego Orła”. Czytam z ciekawością. Jakies odprężające pismo cywilne. Dużo zdjęć, ale przede wszystkim widoki, potem dziewczęta, wiersze, wcale nie hurrapatriotyczne, artykuły rzeczowe, dużo wiadomości. Na wojskowych zdjęciach dużo uśmiechniętych żołnierzy, ani jednego nadętego generała, marszczącego brew, wypinającego pierś, wysuwającego napróżd bruch czy szczękę, jak na zdjęciach z Guatemali, Costa Rico czy innego Meksyku.

Po kolacji rozkładamy się na łące do spania, gdy przyjeżdża innym *scout-carem* porucznik Sachse. To ten sam, z którym pierwszego wieczoru jeździłem po moje rzeczy do sztabu. Wraca właśnie od pułku. Pułk stoi o trzy mile w przodzie, na polu. Jakby się tam dostać? Sachse podesłał swój *scout-car* dalej do tyłu, gdy wróci, mamy podjechać z nim do pułku. Ale to będzie gdzieś w nocy.

I rzeczywiście, chyba gdzieś o drugiej budzi mnie Sachse. Siadam na jego *scout-car*, — na sam wierzch. Ruszamy pierwsi, ciągnąc za sobą całą resztę sanitarnego rzutu. Okazało się bowiem, że major wcale nie był zadowolony z tego, że wczoraj sanitarki były tak w tyle, i teraz dociągamy za nimi. Noc jest piękna, głęboka, chłodna, ciemna zupełnie, wiatr powstaje od przejazdu naszych wozów i tuman kurzu spływa się z mgłami, ciągnącymi dolną. Mijamy farmę, zadrzewioną, wymarłą, wieś, puściutką zupełnie, i jest to tak, jakby tę ziemię zalał i wyludnił ocean mroku.

Widocznie księżyc wstaje późno, bo teraz dopiero zaczyna przeświecać. Podjechalismy

pod skłon wzgórze, za niema farmą, ciemną za nami. Stok, wszystko, jest wysrebrzone księżycem i na tym srebrnym tle mającą ciemne, uśpione kontury: czołgi. Stój, kto jedzie? Nie ma wielkich hasel, wszyscy się znają w pułku. Nie ma też kogo bardzo szukać, śpią snem popólnocnym. Cisza zupełna, żadnych strzałów, tylko gdzieś daleko przed nami błada łuna pożaru. Noc zrobiła się całkiem chłodna, ale szczęściem nadjechały sanitarki; mają koce. Moszczę się więc pod jednym z czołgów, gdy słyszę mowę niemiecką. To mały porucznik Sachse przesłuchuje dwóch jeńców. Temu godzinie przeszli do naszych linii.

Jako prawy Słowianin por. Sachse nie mówi wiele po niemiecku, — toteż śpieszę mu z pomocą. Przed nami stoi dwóch młodych chłopców w niemieckich mundurach, rozpiętych na szyi. Nie mają więcej niż po osiemnaście lat. Przeszli sami. Jeden podaje się za Słoweńca spod Maribora, ale zna tylko niemiecką nazwę tego miasta, jak przez mgłę pamiętam Maribor i to, że ma jakąś słowiańską nazwę, — ale jaką, to zapomniałem. Zresztą ciekawszy jest Niemiec. Jest to przystojny, ciemnowłosy Nadreńczyk z Kolonii, o twarzy inteligentnej i chłopcęcej. Mówi wszystko, mówi dużo, mówi niepytany. Po prostu dezertował. Dlaczego? „*Das war Unsinn!*“ „*Was?*“ „*Wojna!*“. „*Czy był w Hitler-jugend?*“ „*Natuerlich!*“. — Każdy był w *Hitler-jugend*. Dwie rzeczy uderzają. Twarz zdecydowanie inteligentna i zdecydowana niechęć do wojny. Przypomina Francuzów z r. 1940. Jest usłużny, przymilny, aż przykro. Nawet w jego urodzie jest coś śliskiego i niemęskiego. Nie wiem czemu, kiedy go tak przesłuchuję na tym rzysku, skąpanym już teraz w księżycowym świetle, przypomina mi się zdanie ze Stephana George'a. Poeta niemiecki mówił w nim o tych germańskich chłopczkach, którzy, pospolu z dziewczkami, raczyli swymi wdziękami łakomych żołnierzy niemieckich, stojących załogami nad Renem. George mówił, że woli tych chłopców germańskich od nieugiętych Teutonów Widukinda, choć nieugięci Teutoni Widukinda bronili germańskiej niepodległości przed legiami Rzymu. Pamiętam, że za to jedno zdanie Niemcy Hitlera wykłeli George'a, bo i jakże! Pamiętam, jak widziałem w Marokku, na pograniczu pustyni, jak świetnie zbudowane Arabczuki dwunastoletnie tak samo mizdrzyły się do sierżantów z *Legion Etrangere*. I myślę, że obok tych, co polegą, jest w Trzeciej Rzeszy dość dużo kalek młodzieńców, gotowych kokietować Aliantów kraglanią swego posładka. Ale por. Sachse nie jest wcale czuły na tą stronę niemieckiego medalu.

Nazajutrz rozpoczyna się typowe niepróżnujące próżnowanie. Nie zanosz się na to, byśmy mieli ruszyć tak niebawem; jest piękny dzień; jest bezpiecznie. Na tym samym skłonie wzgórze, tylko bardziej w lewo i niżej od nas, stoi jeden z pułków pancernych. Czołgi Sherman wyglądają w zbożu jak stado grubych hipopotamów. Nasze czołgi rozstawiły się szeroko na wypadek niemieckiego ognia, i nie wychodzą z wzgórze. Jest za nim nasza piechota, ale gdyby Niemcy zwęszyli, że zgrupowanie czołgów koczuje tak blisko, pewno już by zagrały moździerze.

Załogi rozpoczynają wcześniej przygotowanie obiadu, każda załoga sobie, mnie proszą naraz dwie załogi. Jedna zapowiada kartoflanek na szynce z puszek, druga jajka z kartoflami; nie ma, jak rozmaitości. Major Maciejowski leży w swym *scout-carez*, ma takiego do dyspozycji, pyta długo o Rosję, o podróż Mikołajczyka do Moskwy, o stanowisko Anglików. Pyta spokojnie, pilnie, nie wypowiada się. Ma żonę i dzieci w Polsce. Chciałby móc do nich wrócić.

Popołudniu korci mnie, żeby się gdzieś ruszyć. Jest okazja, *scout-carem* jedzie podchorąży Gorayski, też dawny znajomy, od Szkotów w St. Martin des Bois. To ta wieś wciąż na lewo od nas, teraz już w tyle; obok tego cichego St. Sylvain, gdzie nasz Stuart natknął się na Niemców trzy dni temu. Wszystko jest teraz w naszym ręku; tylko siedzą tam Angli-cy. Jedziemy.

Dziwne wrażenie, jechać spokojnie tam, gdzie rozpoznawało się czołgiem. Pola te same i horyzont, i krzyż, te krzyże w Normandii bardzo przypominają Polskę, och, jak boleśnie czasem! a oto wjazd do St. Martin des Bois. Z boku zostało St. Sylvain. Zjeżdżamy nieco w dół, opustoszała aleja. Peño grudek ziemi na niej, choć leją od pocisków jakoś żadnych, i druty telegraficzne na ziemi, pocięte. Jakaś czujka nas przepuszcza do wsi — i naraz. Tak. Tędy przeszły bombowce. Lej i lej, lej w lej i pomiędzy nimi jakieś strzępy ścian. Robi to naprawdę wrażenie, jakby zasypiano to wszystko furami ziemi, tłustej, gliniastej, rudej, takiej właśnie, jak owe grudki na drodze. Pół St. Martin tak znikło. Reszta stoć, bez szymb, okien, drzwi, bez ludzi. Jeden stary notariusz przetrwał wszystko. Nad jego domem pozostała owalna, mosiężna tablica z rozpartą podobizną Republiki i napisem, który przeszedł do historii: LIBERTÉ, ÉGALITÉ-FRATERNITÉ. Notariusz jest małym, siwym czubkiem w ciemnym, biurowym ubraniu; nosi złote okulary na czarnej tasiemce. Przygarbiony, uwija się wśród Kanadyjczyków, ogorzałych, ogromnych, ciężkich z wlochatymi piersiami, rozdyrmajacymi rozpięte na upał koszule. W tym zburzonym mieszkanku, wśród tych obcych mołojców jest naprawdę ostatnim śladem Francji.

*) Por. nr. 23 (41) „W Drodze”.

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

Dyskusja o demokracji

Wojska państw demokratycznych posuwają się w głąb okupowanej przez kilka lat Europy, napotykając wszędzie na niepewność, nieufność i obawy co jej narodom przyniosą. Waleczne dywizje alianckie, idące w bój z armią niemiecką, nie zdają sobie sprawy z tego, jak nieokreślone w swym programie jest słowo demokracja, które widnieje na ich sztandarach, jako najwyższy cel walki z Hitlerem. Od tak dawna szermuje się tym słowem, tyle włożono wysiłków, by dla osiągnięcia takich czy innych celów zatrzeć jego cechy charakterystyczne, że wreszcie nie wiadomo, co ono właściwie oznacza.

Treść jednak tego terminu posiada ogromne znaczenie praktyczne. Czy jest demokratyczne mieszanie się w sprawy wewnętrzne innych państw? Czy byłoby demokratyczne uznanie rządu de Gaulle'a przed zbadaaniem jego rzeczywistej pozycji we Francji? Czy może Grecji narzucać siłą swoje rządy jedna organizacja polityczna, znowu w imię demokracji? To wszystko są pytania, które zależą od odpowiedzi na to, co oznacza, termin demokracja. Powiedzmy sobie szczerze, w tej chwili z jednej i z drugiej strony fortecy Hitlera rozbrzmiewa słowa demokracja równie głośno i gromko, ale rezultaty dziwnie się różnią.

Myśli te nasunęły mi się przy sposobności poznania usiłowań Guglielmo Ferrero podania istoty „demokracji praworządnej” (*). Wydaje mi się, że ujęcie tej sprawy w ten sposób, jak to zrobił Ferrero, ograniczając pojęcie demokracji do „zasady przekazywania rządów za pomocą wyborów, aby w ten sposób rozwiązać zagadnienie władzy”, omija istotę zagadnienia. Kryje ono w sobie niebezpieczeństwo właśnie dla istoty demokracji. Ograniczenie się bowiem do ściśle formalnych kryteriów daje właśnie podstawę do wszystkich nadużyć, zmierzających do spalenia istoty rządów demokratycznych i zniszczenia ich. Widzieliśmy zresztą, jak najpowszechniejsze i najbardziej doskonałe z punktu widzenia wymagania formalnych systemy wyborcze, na których wedle Ferrero polega istota demokracji, w praktyce prowadziły do wykoszlawienia, kończących się w okresie, który myślimy wszyscy przeżyli, różnymi odmianami faszyzmu. Wiemy z naszych własnych doświadczeń, jak demokratyczne ciała uchwały niedemokratyczne ustawy, uchwały czy rezolucje. Dość chyba przypomnieć ustawę o *progulach*, która jest chyba największą klęską, jaką poniosł kiedykolwiek świat robotniczy. Demokratyczna konstytucja weimarska i związany z nią system wyborczy nie uchroniły Niemiec demokratycznych od Hitlera.

Z drugiej strony naukowe ujęcie istoty demokracji jest niemal że niemożliwe. Właśnie w ciągu XIX w., w którym racjonalizm i wiara w naukowe podejście do wszystkich zagadnień życia odegrały taką rolę, nauki społeczne najbardziej zawiodły. Teoria suwerenności narodu, teoria nacjonalizmu, doktryna socjalistyczna, wszystkie pochodne z filozofii praw naturalnych człowieka, skazyły to źródło, którym żyła ludzkość od czasów rozkwitu filozofii greckiej. Demokracja przetrwała się w dyktaturę, opartą o plebisycyt, prądy narodowe zdegenerowały się w imperializm, a socjalizm zapomniał o upośledzonych, których miał służyć, i w dotychczasowych swych formach stworzył autarkię i potworną biurokrację.

Na to, by zrozumieć istotę demokracji, trzeba cofnąć się do okresu, w którym powstawała ona w nowoczesnym swym ujęciu. Polska, Anglia i Węgry były w pewnym okresie państwami demokratycznymi, znacznie wcześniej niż Francja w okresie Rewolucji. A nawet tam, gdzie idee rządów ludowych czy narodu wprowadziła Rewolucja Francuska, trudno uznać je za całkowite za wyraz tego konfliktu. Na zachodzie Europy przewrót, zapoczątkowany przez Rewolucję, wyrósł nie na tle konfliktu praw ludu z prawami monarchii, ale na tle przemian, które spowodowały, że absolutyzm starych rodów królewskich jako forma rządów przeżył się. Brakło miejsca dla nowych potrzeb, nowych grup społecznych, nowych sił, tamowano nowe formy działalności gospodarczej. Stare formy i stare wizerunki co do istoty władzy i jej celu musiały ustąpić nowym. Tam gdzie monarchia, tak jak w Anglii, potrafiła zrozumieć istotę przemian, to pozostała. Tam gdzie głupota władcy czy jego doradców przeszkodziła mu w dojrzeniu rzeczywistości, władca ten musiał odejść. Bardzo często zapomina się o tym, że Francja, która z Rewolucji zrobiła ideologię swojej ekspansji, przeżywała wówczas okres największego rozwoju demograficznego. Była najliczniejszym i najmłodszym (w sensie populacyjnym) narodem Europy.

To, wydaje się, było istotną przyczyną i racją przewrotu. Dalszym skutkiem dopiero było przeciwstawienie jednej praworządności drugiej. Idei praworządności, opierającej się na boskim początku władzy króla, przeciwstawiono koncepcję praworządności, opierającej się na woli narodu. Suwerenności władcy przeciwstawiono suwerenność narodu, który gładko zajmuje jego miejsce. I wówczas, na przełomie XVIII i XIX w., takie postawienie problemu wyceperowało zagadnienie. Bardzo ciekawe i charakterystyczne

w tym zakresie są ówczesne dyskusje wśród statystów Stanów Zjednoczonych. Władza i praworządność zawsze pochodziły z góry. Władzę sprawowała zawsze elita, warunkiem zaś praworządności tej władzy była wola narodu, który ostatecznie z punktu widzenia każdego obywatela jako pojęcie zbiorowe pozostał także czynnikiem nadrzędnym. I dlatego, jakkolwiek byśmy spekulowali, nie zgubimy wśród rozważań nad demokracją zagadnienia jednostki i jej stosunku do państwa takiego czy innego, jej praw i jej niezależności nawet od demokratycznego państwa.

Prawa naturalne jednostki są problemem zasięgu zdobyczy Wielkiej Rewolucji. Filozofię prawa natury przyjmując w ciągu XIX w. prawie wszystkie narody zachodniej Europy. Nawet reakcyjna Austria oparła na niej swój system prawny, budując w ten sposób podstawę specyficznego ustroju, który w końcu XIX w. obok wszelkich cech systemu absolutystycznego reprezentowała poszanowanie praw człowieka i obywatela, wzorową, przestrzegającą prawa administrację i niezawisłe sądownictwo. Treść zdobyczy rewolucji francuskiej zawędrowała dalej niż jej instytucje. Przepajała ona urządzenia państwowe już istniejące, powołując je do nowej roli w myśli nowej filozofii społecznej, chroniąc jednostkę przed państwem.

Ferrero próbuje przedstawić moment 1920 r. jako kontynuację procesu przeciwstawiania się monarchii. Dzisiaj na pewno wiemy, że nie bardziej fałszywego. Podstawy demokracji liberalnej, przede wszystkim w zakresie gospodarczym, leżały już wówczas w gruzach. Rewolucyjność zaś tego momentu, w którym ludy zrzucały obce jarzmo, posiada zabarwienie przede wszystkim narodowe. Polacy, Czesi, narody bałkańskie, pozbawiały się nie panowania królów i cesarzy, a panowania niemieckiego, austriackiego, rosyjskiego i węgierskiego. Odwołanie się do urządzeń demokratycznych miało na celu znalezienie przeciwwagi dla rządów obcych urzędników. A w reszcie Europy wprowadzenie ostatnich udoskonaleń demokratycznych w maszyny państwowe odbyło się w atmosferze zobojętnienia. Trudności gospodarcze, znomadyzowanie już wówczas życia społecznego, nowe problemy i potrzeby przesłoniły te sprawy.

System przekazywania rządów za pomocą wyborów był niejednokrotnie narzędziem dla nadużyć właśnie dla zniszczenia demokracji. Plebisycy z lat 1799 i 1804 Napoleona, który później znajduje znakomitego naśladowcę w Hitlerze, oto przykłady z czasów ostatnich. Teoretycznie rzecz biorąc, ograniczenia, wprowadzone w system wyborczy francuski, zakazujące kandydowania z więcej niż jednego okręgu, po doświadczeniach z Mac Mahonem, są ograniczeniem woli ludu. Przy dzisiejszych metodach propagandy, terroru politycznego i dywersji zawiodą wszelkie hamulce dla popełniania nadużyć w systemie demokratycznym. Na to, by mówić o praworządności systemu demokratycznego danego państwa, musimy pójść znacznie dalej niż sprawdzić system wyborczy. Trzeba spojrzeć na rzeczywistość polityczną tego państwa. Uczciwe wybory nie mogą być wyłącznym kryterium reżimu. Ważniejsza wydaje się treść ustaw, uchwalonych przez demokratycznie wybrany parlament, i posłuszeństwo rządu tym ustawom.

Dzisiaj problemem Europy nie jest to, że, jak chce Ferrero, Europa jest monarchistyczna, ale że narodom Europy narzuca się rządy i systemy polityczne im niemiłe, że brak jest zasad prawa publicznego Europy, czy zwyczajnych zasad moralności, do których i jednostki, i narody mogłyby się odwołać.

Jeżeli mówimy o demokracji praworządnej, mówimy nie tylko o urządzeniach, zapewniających sprawiedliwe wybory do parlamentu, mówimy także o wolności jednostki, o równość wobec prawa, o idei postępu społecznego, o ochronie pracy. Dzisiejsze społeczeństwa zawsze będą rządzone przez elity, przez polityków, popieranych przez grupy społeczne. Będzie zawsze istniał podział na rządzących i rządzonych. I tak samo, jak w ustrojach monarchicznych, w ustrojach demokratycznych będzie istniał problem ochrony wolności jednostki przed nadużyciami rządu. Najpewniejszym kryterium wolności jednostki jest jej prawo do kontroli i krytyki, jedynie prawo, nadające na pewnej platformie obywatelowi równość z państwem i jego przedstawicielami. Człowiek z ulicy nie może rzadzić, i niedobrze jest, jeżeli do tego się zabiera, ale powinien krytykować, gdyż to jest jego obowiązkiem. Istotny obraz stosunków i wolność obywatela w krytykowaniu rządu oto znamiona demokracji praworządnej.

W tej chwili Europa, zmęczona totalizmem, narzuconym jej, pragnie demokracji. Ale nie może to być demokracja, która zamknie usta narodom wobec opinii publicznej i nie pozwoli krytykować posunięć politycznych na terenie Europy. Parlament brytyjski wziął wraz z Grekami udział w krytyce posunięć premiera Churchilla na terenie Grecji. W parlamencie brytyjskim krytykuje się rząd polski w Londynie. Nikt nie krytykuje w Rosji posunięć marsz. Stalina w stosunku do Polski, a w zgnębionej Polsce nie ma miejsca na głos, krytykujący rząd lubelski. Demokracja w całej Europie, także i w Polsce, oznacza przede wszystkim wolność.

Wśród książek

System atlantycki

The Atlantic System. The Story of Anglo-American Control of the Seas by Forrest Davis. Londyn, George Allen & Unwin, Ltd., 1943. Str. 238.

Podczas wojny burskiej Mark Twain pisał do jednego ze swych przyjaciół: „Anglii nie wolno paść; byłoby to równoznaczne z zalewem rosyjskiej i niemieckiej nikczemności politycznej, która ogarnęłaby kulę ziemską i pchnęła ją w jakąś nową noc i niewolę średniowiecza aż do dnia nowego przyjscia Chrystusa. Nawet wtedy, kiedy nie ma racji, — a nie ma jej, — Anglia musi być podtrzymywana. Wrogiem rasy ludzkiej byłby ten, kto by dzisiaj przeciwko niej występował”. Słowa te, wypowiedziane w okresie, kiedy moralne akcje brytyjskie notowane były nisko na międzynarodowej giełdzie politycznej, najlepiej oddają sens i ducha niepisanego sojuszu dwóch mocarstw anglosaskich.

W książce swej Forrest Davis, waszyngtoński korespondent *The Saturday Evening Post*, przedstawia dzieje tego sojuszu na przestrzeni ostatniego stulecia. Poprzez blaski i cienie, przez jakie w różnych okresach przechodziły stosunki między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi, snuje linię logicznej ciągłości, zmierzającą ku coraz lepszemu i silniejszemu zespoleniu interesów i celów politycznych w Systemie Atlantycznym. F. Davis nie bawi się w dobieranie historycznych faktów i aktów dla uzasadnienia rzekomych „praw dziejowych”, które, — tak lubiane gdzie indziej, — wykoszlawiają rzeczywistość i szkodzą nauce, nie przynosząc pożytku względem praktycznym. Nad mistyczne pokrewieństwa i bliskości przekłada konkretne interesy. Wspólne ideały, miłość wolności i pokoju, to czynniki wtórne, gdy w pierwszym rzędzie o układzie międzynarodowym decyduje strategia. Forrest Davis jest uczniem admirała Mahana, — twórcy geopolityki, kiedy Haushoferowi jeszcze się o niej nie śniło. Dla niego sentyment był „szczegółem dekoracyjnym, interes własny — cementem, który trzyma budowlę. Dla Mahana Ameryka i Anglia były „naturalnymi sprzymierzeńcami” dlatego, że ich interesy stykają się bez konieczności konfliktu, dlatego, że Anglia, Dominia i Stany Zjednoczone uzupełniają się strategicznie w tak wielu punktach i dlatego wreszcie, że tylko łącznie — a nie oddzielnie — mogą panować na morzach

Umocnienie systemu atlantyckiego jest dla Forresta Davisa warunkiem przyszłości politycznej Ameryki i Wielkiej Brytanii, które, posiadając kontrolę mórz, mogą stanowić główną gwarancję pokoju i bezpieczeństwa świata. System atlantycki staje się w tym ujęciu rozszerzeniem pojęcia świata zachodniego, łączonego tradycyjnie z pojęciem cywilizacji i kultury europejskiej. Nie może być kompromisu pomiędzy światem atlantyckim a niemiecką reakcją. Zjednoczenie potężnych sił dwóch narodów anglosaskich nie tylko przyniesie ostateczne zniszczenie tyranii hitlerowskiej i ocalenie świata atlantyckiego, ale pozwoli Europie wrócić do swej tradycyjnej spuścizny zachodniej cywilizacji. Jednak Europa nawet po zwycięstwie nie odzyska przodownictwa w świecie zachodnim. Bez względu na wynik wojny Francja otrzymała ogłuszający cios. Zmierzch jej roli kierowniczej na zachodzie widoczny był już przed wojną, a klęska tylko go przyspieszyła.

Wbrew twierdzeniom izolacjonistów Ameryka nie weszła do obu wojen światowych z własnego wyboru. Udział jej był nieunikniony i wynikał z jej związania za światem zewnętrznym. Tendencje izolacjonistyczne wynikają po prostu z politycznego „niemowlęstwa” części opinii amerykańskiej, która nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, że przez cały wiek XIX, kiedy Ameryka była najdalej od Europy, zawdzięczała jednocześnie swe bezpieczeństwo brytyjskiemu panowaniu na Atlantyku. Reakcja przeciwko interwencjonizmowi, jaka nastąpiła po poprzedniej wojnie, w tym właśnie niezrozumieniu miała swe źródło. Ponieważ Ameryka weszła do wojny w r. 1917 po uprzednim pożyczaniu setek milionów Aliantom, sądzono, że pożyczki zdecydowały o wojnie. Ponieważ Ameryka sprzedawała broń Aliantom i Niemcy topili amerykańskie statki, sprzedaż broni i torpedowanie transportów uznano za drugą przyczynę wojny. Było to braniem skutku za przyczynę. Ustawodawstwo, zmierzające do usunięcia zła, którego tylko zewnętrzne pozory dostrzegało, pogorszyło jedynie sytuację, pozwalając Niemcom wierzyć, że Ameryka nie wysunie swej obrony systemu atlantyckiego dalej, niż na trzy mile morskie od brzegu.

Nie tylko opinia amerykańska nie rozumiała istoty zagadnienia. Przyczyna niepowodzeń powersalskich tkwi w samej koncepcji Wilsona. Już w drodze do Paryża, na pokładzie okrętu „George Washington”, Wilson mówił członkom swej misji, że „będą oni jedynymi niezainteresowanymi na konferencji pokojowej, zaś ludzie, z którymi będą mieli do czynienia, nie reprezentują własnych narodów”. Wilson nie tylko był przekonany, że sam rozumie Anglików lepiej niż Lloyd George, Francuzów — niż Clemenceau, a Włochów — niż Orlando, lecz, szukając rozwiązań uniwersalnych, nie tylko nie zbliżył, ale odsunął od siebie europejskich sprzymie-

rzeńców, w których widział jedynie „stowarzyszonych” a nigdy „aliantów”.

W Paryżu „mogli wszystko”, przyjechał po to tylko, by — jak określił to wówczas Winston Churchill — „ukarać aliantów i wychłostać Niemców”. System atlantycki upadł w chwili, gdy był najbliższy realizacji.

System atlantycki wymaga panowania na morzach; wiedząc, że nie wydrze go połączonym siłom anglo-amerykańskim, Haushofer proponował go obejść. W koncepcji jego podbój Europy centralnej i wschodniej zapewnić miał Niemcom hegemonię świata bez rozprawy z Anglosasami na morzu. Naprzeciw systemu atlantyckiego stanął system kontynentalny, olbrzymi plan poddania Europy, Afryki i Azji pod kontrolę niemiecką. W pakcie niemiecko-sowieckim z r. 1939 Haushofer widział pierwszy krok ku włączeniu świata słowiańskiego w orbitę niemiecką. Atak na Rosję w r. 1941 był w tym świetle raczej próbą radykalnego przyspieszenia olbrzymiego planu, niż jego porzuceniem. Idąc na pomoc Rosji, potęgę morskie nie tylko przyczyniały się do osłabienia machiny wojennej Niemiec, ale nadto zabezpieczały swe skrzydło. Wydaje się, że Roosevelt i Churchill zrozumieli w pełni znaczenie marszu Hitlera na wschód. Ono właśnie tłumaczyć może tę gotowość, z jaką postanowili stawić czoło komplikacjom wewnętrznym, które wywołało ich zobowiązanie się do udzielenia pomocy Rosji sowieckiej.

W nowym świecie rola Europy będzie odmienna od historycznych tradycji. Cywilizacja europejska może się odrodzić i przetrwać tylko na nowym, szerszym planie. Tylko od świata atlantyckiego, od Ameryki i brytyjskiego Commonwealthu, od którego połowa rasy białej nauczyła się żyć w pokoju, może przysiąc odrodzenie. Rauschning w swej książce o „Imperium Atlantycznym” tak mówi o powstaniu nowego świata: „Środek ciężkości przesunął się na zachód. Wokół oceanu Atlantycznego powstać może nowe imperium pokoju. Z unii narodów anglosaskich powstać może zalek potęgi nowego państwa. Europa będzie w nim zapleczem”.

Od chwili pierwszego wydania książki Forresta Davisa wiele się zmieniło w układzie sił głównych mocarstw. Mimo tych zmian, dzisiaj chyba bardziej niż kiedykolwiek przedtem idea systemu atlantyckiego ukazuje się w całej pełni jako najwyższa konieczność powojennego świata.

Jeszcze w poprzednim stuleciu były słuszar Carnegie doradzał nieco brutalnie Anglii, by wstąpiła do Stanów Zjednoczonych, odsyłając rodzinę królewską „z powrotem do Niemiec”. Niedługo przed tą wojną Bernard Shaw bawił pysznie siebie i innych wizją „Wielkiego Kraju”, jaki by wynikał z propozycji zjednoczenia. Dzisiaj można by raczej obawiać się „wielkiego kramu”, gdyby zjednoczenie — w takiej czy innej formie — miało być znowu, jak w r. 1919, zniszczone.

stw.

LISTY Z PERSJI

(Dokończenie ze str. 2-cj)

kie mniejsze narody, domagające się równoprawnienia.

Czy ta polemika prasowa ma jakieś głębsze reperkusje, jeżeli chodzi o masy narodu irańskiego? Odpowiedź musi wypaść bez wątpienia pozytywnie, o ile weźmiemy pod uwagę te masy, które politycznie się liczą. Wśnieśnik irański w okolicach Kermanu czy Szirazu nie zdaje sobie pewno sprawy, co się dzieje w wyższej polityce w Teheranie. Kto wie, czy w ogóle jest poinformowany o bieżących wydarzeniach. Ale też i prasa irańska nie jest dla niego przeznaczona. Liczą się natomiast już miasta, zawierające inteligencję, urzędników, kupców, proletariatu. W miastach większość ludności konsumuje informacje prasowe, konsumują je nawet analfabeci. W Iranie rozpowszechnione jest czytanie wszelkich pism na głos. Tak się czyta Koran, tak też się czyta Hafiza, Saadięgo i — gazety. Dziennik, mający 300 egzemplarzy nakładu, może mieć nawet trzy tysiące „słuchaczy”, jeżeli się weźmie pod uwagę, iż np. w uboższych, południowych dzielnicach stolicy jeden „lektor” gromadzi wokół siebie nieraz gromadę, złożoną z 15—20 osób, zebranych przypadkiem (lub nie przypadkiem) na ulicy.

Głosy prasy nie przechodzą więc obojętnie mimo uszu poddanego perskiego. I chociaż Iran jeszcze prawdziwą demokracją nie jest, to jednak już nieraz można było widzieć masy, wyprowadzone na ulicę i zachowujące się gwałtownie. Depesze prasowe z Moskwy donosiły o manifestacjach 20-tysięcznej masy, demonstrującej na ulicach Teheranu o przyznaniu koncesji naftowych. W rzeczywistości tłum nie przekraczał nawet jednej czwartej podanej cyfry. O postawie tłumy decyduje w dużej mierze słowo, jakie się doń kieruje. Pomysł podpalenia domu bogatego paskarza może znaleźć łatwo swych zwolenników, jednak idea zachowania skarbu narodowego, — cennego minerału, — dla narodu może też znaleźć swych zwolenników. Słowo ma wielką rolę do odegrania. Słowo w Iranie jest w trakcie emancypacji. Nieraz służy ono obcym celom, nieraz jednak jest ono wyrazem narodowego uświadomienia.

Jerzy Larren-Lenczowski

*) Por. nr 2 (44) ze 16 stycznia b.r.

JERZY POMIAN

DZIEWIĄTY CUD ŚWIATA

Salisbury, stolica Południowej Rodezji, jest miejscowością zupełnie nie afrykańską. Wszystko tu jest angielskie, albo przynajmniej usiłuje naśladować Wielką Brytanię. Nawet klimat jest łagodny, chłodny; w miarę wilgotny. Hotele są świetne, pełne ciszy i komfortu. Jedzenie, bardzo obfite, prawie tak obfite jak w sąsiedniej, neutralnej Afryce Portugalskiej, jest przyrządzane na sposób angielski, według słynnej zasady „możliwie najgorsze potrawy z możliwie najlepszych produktów”. Atmosfera w sklepach, pubach, lokalach rozrywkowych, bardziej londyńska niż nad Tamizą. Słowem, miasto angielskie na 18° szerokości południowej. O Afryce przypomina tylko piękny park miejski, pełen roślinności podzwrotnikowej, i czarni posługacze, robotnicy i służący, — w dużym zresztą stopniu zeuropeizowani. Jeżeli pamiętać, że Salisbury obchodziło w zeszłym roku 50-lecie swego istnienia, że zaledwie pół wieku upłynęło od czasu, gdy Cecil Rhodes zdobył ten kraj dla Wielkiej Brytanii, to osiągnięty postęp musi się wydawać zdumiewający. W Rodezji Południowej stworzono kraj człowieka białego, dający wygodne warunki życia, wielkie możliwości rozwoju i złudzenie *home'u*.

Czarni, choć przeważający liczebnie, są jak dotąd tylko częścią przyrody, pozostając oczywiście pod opieką rządu, ale nie biorąc w żadnym stopniu udziału w zarządzaniu krajem. Dopiero ostatnio zaczynają się emancypować i żądać dla siebie praw. Podczas mego pobytu w Salisbury toczyła się właśnie na łamach prasy rodezyjskiej dyskusja na temat przyjęcia wykwalifikowanych murzynów do angielskich związków zawodowych. Miejscewa *Labour Party* stanęła wobec żądania ze strony robotników kolorowych przyjęcia ich na członków albo wobec alternatywy powstania oddzielnych, czarnych związków zawodowych. Powzięcie przez *Labour* decyzji, nie jest rzeczą łatwą i wymaga przezwyciężenia całego szeregu przesądów, przywilejów nabytych i interesów.

Z Salisbury dokonałem kilku wypadów do osiedli polskich, istniejących w Południowej Rodezji. Osiedla te, Marandelas i Rusape, położone przy linii kolejowej, prowadzącej z Beiry do Salisbury, są zaludnione w ogromnej większości przez kobiety i dzieci. W Marandelas, na 500 mieszkańców, było tylko 38 mężczyzn, a w Rusape na 562 — tylko 31.

Marandelas i Rusape położone są w okolicy, pełnej wielkich głązów, najdziwniej ustawionych, większy na mniejszym, w odwrócone piramidy, albo w fantastyczne zamczyska. Są to pozostałości gwałtownej erozji, jakiej Rodezja podlega. Osiedla polskie mają klimat umiarkowany. W miesiącach zimowych istnieje tu nawet problem ogrzewania chat i ciepłej odzieży dla uchodźców. Febra nie istnieje zupełnie, a przywieziona z niższych okolic, ma przebieg łagodny. Zdrowotność emigrantów polskich jest tutaj świetna, możliwość pracy fizycznej całkowita. To też zarząd osiedla, Jarandelas, organizuje rozliczne warsztaty wytwórcze, hodowlę drobiu i świń, oraz prace na fermie rolniczej. Osiedle robi wrażenie doskonałe, a współżycie wzajemne mieszkańców, ich warunki bytu i samopoczucie zdają się nie pozostawiać nic do życzenia. Tylko pobudowanie domków w szereg sprawia, w przeciwstawieniu do innych osiedli, bardziej rozrzuconych, monotonne wrażenie. W Marandelas i w Rusape, jak zresztą w większości osiedli polskich w Afryce, brak książek polskich i świeżych czasopism polskich.

W odległości ośmiu mil od Marandelas położone jest Diglefold, w którym, staraniem konsula polskiego z Salisbury, utworzono gimnazjum polskie. Gimnazjum położone jest w idealnych warunkach, w obszernej posiadłości, otoczonej suchym parkiem. Ze względu na zasadę unikania szkół koedukacyjnych na szczeblu gimnazjalnym, przyjętą przez Ministerstwo Oświaty, — gimnazjum jest przeznaczane tylko dla dziewcząt. Przebywa w nim w chwili obecnej około 60 uczennic, ale istnieje możliwość pomieszczenia znacznie większej liczby. Kierownikiem Gimnazjum jest dr Zarzycki, ongiś generał i minister przemysłu, a przedtem jeszcze profesor gimnazjalny.

Po wizycie w osiedlach polskich Południowej Rodezji, które były w stadium oczekiwania na nową falę uchodźców, mającą przybyć z Indii i Persji, udałem się do ostatecznego celu mojej podróży, — do Livingstone i Lusaki w Rodezji Północnej. Do Livingstone jedzie się z Salisbury przez Bullawayo, które jest miastem handlowym Rodezji Południowej i stanowi uzupełnienie stolicy, Salisbury. W Bullawayo spędziłem cały dzień, — od ranego pociągu do wieczornego. Pełno tam wszelkich towarów, nawet takich, o których istnieniu już od dawna zapomniano w Anglii. Między innymi, tanie, doskonałe zegarki szwajcarskie — złoty Omega za 25 L. Bullawayo jest nieco mniej „białe” niż Salisbury. Więcej w nim Hindusów i sporo szczególnie niezależnych, dumnie się noszących Murzynów szczeplu Matabellów. W Bullawayo była ongiś twierdza i kraal słynnego Lobenguelli, ostatniego wodza Matabellów, który początkowo zawarł traktat z Rhodesem, a potem zdecydował się na walkę z nim. W tej ostatniej wojnie o Rodezję kraal krolewski spłonął, a sam Lobenguella uciekł i wszelki śluch o nim zaginął. Długo los jego pozostawał tajemnicą, aż wreszcie dopiero teraz, właśnie w czasie mego

pobytu w Rodezji, odszukano przypadkiem jego grób, w pieczarze, położonej w kraju, nawiedzanym tylko przez słońce. Odnalezienie grobu otworzyło usta ostatnim żyjącym jego wojownikom, świadkom wydarzeń, którzy opowiedzieli, że król po klęsce odebrał sobie życie. Wraz z nim zabił się jego pierwszy minister. Przed śmiercią rozkazali pochować się w ustroniu i utrzymać miejsce grobu w tajemnicy przed najeźdźcami. Trzeba dodać, że niedaleko od Bullawayo, w czarującej okolicy, zwanej *World's View*, znajduje się grób wielkiego przeciwnika Lobenguelli i twórcy dzisiejszej Rodezji, Cecila Johna Rhodesa.

Pociągi w Rodezji są wygodne. Każdy biały podróżny ma swoje miejsce leżące, a za niewielką dopłatą dostaje pościel. Miejsca trzeba zamawiać na kilka dni naprzód, ale o tłoku nie ma mowy. Do Livingstone jechałem dwie noce. Żałowałem, że nie mogłem po drodze obejrzeć rezerwatów zwierziny Wankie i Robins, przez które przejeżdżaliśmy. Wysiadłem o świcie na stacji Victoria Falls, odległej od Livingstone o 9 mil. Jest tam wspaniały hotel turystyczny, zbudowany przez kolej, podczas gdy hotele w Livingstone są przepełnione, przede wszystkim przez uchodźców polskich, mieszkających tu od trzech lat.

W Victoria Falls wita mnie prawdziwie podzwrotnikowy deszcz. W Rodezji Północnej kończy się właśnie pora deszczowa i niebo wylewa „resztki”. Resztki te jednak są tak obfite, że 50 metrów od pociągu do hotelu przebywamy, mimo że jesteśmy chronieni parasolami posługaczy, jak przez morze. Prędko jednak ta nawałnica mija i już około ósmej rano możemy wyjść przed hotel, aby spojrzeć na ten prawdziwy dziewiąty cud świata, jakim są wodospady rzeki Zambezi.

Victoria Falls są czymś, co sobie trudno wyobrazić i co trudno od razu objąć rzutem oka. Zambezi, płynąc ze wschodu na zachód, rozlewa się przed wodospadami na 1½ mili szerokości, po skalistym gruncie. W pewnym punkcie to skaliste łóżysko jest przecięte kenionem poprzecznym, głębokim na 353 stóp, w który cała masa wód Zambezi wlewa się z przeraźliwym gromotem. Kenion stanowi początek nowego łóżyska, wąskiego a głębokiego, które wody rzeki po pokonaniu kilku zakrętów doprowadza dalej w kierunku zachodnim. Masa wód, tworzących wodospad, stanowi w porze deszczowej ponad 690.000 ton na minutę. Wystarczy porównać tę cyfrę spadku i wysokości wodospadu Zambezi z Niagarą, niemal trzykrotnie niższą i pięć razy mniej rozległą, żeby sobie zdać sprawę z ogromu zjawiska przyrody, jakie Zambezi rozciąga i jakie po raz pierwszy ujrzał w r. 1855 David Livingstone.

Masy spadającej wody rozbryzgują się na dnie kenionu, podnosząc chmury skropionej pary, która nierzadko zasłania widok na wodospady. Przy wielkim stanie wód cały milowy wodospad spada niemal z jednakową siłą, dając wszędzie jednakowo imponujący widok. Najwspanialsze jednak są trzy punkty spadku. *The Devil's Cataract*, *Rainbow Falls* i *Boiling Pot*. Pierwszy daje efekt największej i najbardziej brutalnej siły, a zarówno nad drugim, jak i nad trzecim niemal zawsze rozciągają się wspaniałe łuki tęczy. Czość wodospadu jest do ogarnięcia okiem tylko z aeroplanu, — niestety jednak w czasie wojny wstrzymano loty turystyczne nad Victoria Falls, dawniej stanowiące uzupełnienie wizyty nad wodospadami. Poszczególne fragmenty wodospadu można oglądać z drugiego brzegu kenionu, o ile para wodna nie zasłania widoku. Notabene, trzeba włożyć nieprzemakalny płaszcz, bo pył wodny zrasza jak deszcz ulewny. Przepiękny jest także widok wzdłuż kenionu, od strony pomnika Livingstone'a, stojącego w pobliżu *Devil's Cataracts*, oraz z drugiego końca wodospadu, z mostu.

Po przeciwnej stronie mostu znajduje się park zwierzęcy, przez który jedzie się do Livingstone. Zamieszkałe w tym parku żyrafy i gazyli nie tylko się nie boją, ale po prostu stukają do okien auta albo zaczepiają podróżnego, delikatnie pociągając za ubranie i prosząc o łakocie. Opodal parku, na rozlanej szeroko w tym miejscu Zambezi i jej dopływie, widzę inny świat zwierzęcy: wynurzające się z wody głowy hipopotamów i grzbiety na pewno mniej niż gazyli i żyrafy oswojonych krokodyli.

Livingstone jest miłym miastem pełnym zieleni i kwiatów. Gorąco tutaj umiarkowane, ale znacznie dokuczliwsze jak w Salisbury czy Nairobi, bo położenie nad poziomem morza niższe. Od trzech lat jest Livingstone miejscem osiedlenia dużej grupy Polaków. Przybyłych tutaj jeszcze przed „wielką emigracją”, wprost z kraju, via Cypr i Palestyna. Grupa ta jest utrzymywana przez rząd brytyjski, a nie przez polskie władze opieki społecznej. Polacy są rozmieszczeni częściowo po hotelach, a częściowo mieszkają w wynajętych mieszkaniach i domkach, rodzinami. O mieszkania jednakże jest trudno, tak że nawet niektóre liczniejsze rodziny muszą mieszkać w hotelach. Położenie materialne tych osób, które znalazły mieszkanie i prowadzą gospodarstwa rodzinne, jest więcej jak dobre. Zasiłek, który otrzymują, nie tylko pokrywa w całości wszystkie wydatki, ale pozwala na czynienie poważnych oszczędności. Natomiast ci, którzy mieszkają w hotelach, mają wprawdzie dość wygodne pokoje i obfite wyżywie-

nie, ale odczuwają brak pieniędzy na drobne wydatki i na odnawianie zapasów garderoby, — bowiem całą kwotę zasiłku pochłania opłata za pensjonat. Te stosunki mieszkaniowe tłumaczą sprzeczne wieści, jakie z terenu rodezyjskiego docierają do Londynu i Palestyny. Niektórzy donoszą o doskonałych warunkach bytu, w jakich się znajdują, inni skarżą się na braki pieniężne. Pierwsi, to ci, którym udało się zorganizować życie samodzielne i którzy otrzymują zasiłek do rąk, — drudzy, to mieszkańcy hoteli i pensjonatów.

Warunki zdrowotne w Livingstone nie są tak dobre, jak w osiedlach polskich Rodezji Południowej. Zwalaszcza upalna i wilgotna pora deszczowa jest dotkliwa i potrafi być groźna dla Europejczyka. Malaria jest dosyć częsta. Toteż warunki miejscowego gimnazjum dla chłopców ani w części nie mogą się porównać z warunkami, jakie istnieją w gimnazjum żeńskim w Dieglefield.

Spółczesność uchodźcza w Livingstone jest bardzo mieszana. Przeważa inteligencja, w przeciwstawieniu do obozów nowszych, w których ogromną przewagę ma ludność wiejska. Uchodźcy livingstoneńscy różnie znoszą wygnanie i różnie reagują na nowe warunki życia. Jest kilkanaście osób, które potrafiły się przystosować doskonale; nauczyły się po angielsku i pracują czy to w urzędach rodezyjskich, czy też w handlu i przemyśle. Jeden z uchodźców piastuje bardzo poważne stanowisko sekretarza Najwyższego Sądu Rodezji, a inny jest wysokim urzędnikiem celnym. Kilku pracuje w przemyśle i zajmuje się handlem. Jeden z sędziów prowadzi do spółki z Rodezyjczykiem fermę ogrodniczą i można go często spotkać, gdy dowodzi do miasta produkty fermy. Istnieją również uchodźcy, którzy pojechali szukać „nie darowanego” chleba do pobliskiego Konga Belgijskiego albo do Afryki Południowej. Fama, jak zwykle zazdrosna, niesie, że zarabiają oni poważnie i odkładają na Polskę. Są wreszcie tacy uchodźcy, którzy zarabiają skromne sumy, wystarczające im na uzupełnienie *pocket money*, rzemieślniem, albo przemysłem domowym. Pewien sędzia wyrabia walizki, a pewien ksiądz *curio* z kości i drzewa.

Jednakże, na ogół, uchodźcy livingstoneńscy pracy nie mają. Winne są temu przede wszystkim warunki miejscowe, nie przystosowane do pracy białego, po trosze jednak winni są sami uchodźcy. Brak wśród nich rozleglejszej inicjatywy, zwłaszcza spółdzielczej, brak kierownictwa, które by potrafiło pokonać piętzącą się trudność, istotnie nie małe. A ponieważ osiedle nie wchodzi w zakres kompetencji Delegatury Afrykańskiej Ministerstwa Pracy i Opieki, więc doświadczenia organizacyjne, jakie ta Delegatura poczyniła w osiedlach zamkniętych, nie są transponowane do Livingstone.

Najsmutniejszą jednak stroną życia livingstoneńskiego jest pewna liczba uchodźców, powszechnie uważanych za „parszywe owce”. Uchodźcy ci psują opinię uchodźstwa polskiego wśród miejscowego społeczeństwa i szkodzą sprawie naszej emigracji afrykańskiej. Nie ma tych osób wiele, nie stanowią one nawet 10 procent ludności polskiej w Livingstone. Ale zachowanie ich jest istotnie bardzo złe, często nawet przestępne, tak że właśnie podczas mego pobytu w Rodezji władze konsularne polskie i rząd rodezyjski rozważały zamiar zbudowania dla nich osobnego obozu odosobnienia.

Życie codzienne społeczeństwa livingstoneńskiego nie jest bardzo barwne. Stosunki towarzyskie w kołach rodaków nie należą do reguły. Niektórym zbrzydły one po czterech latach i znudziły się. Stosunki z Rodezyjczykami mają tylko ci, którzy opanowali język angielski, a takich, niestety, jest niewiele. Jak zawsze, najciekawsze i najbardziej barwne życie mają nieliczni w Livingstone miłośnicy sportu albo też ludzie, którzy posiadają umiłowany zawód naukowy czy *hobby*. W zakresie sportu istnieją szerokie możliwości myśliwskie, rozwinięty sport żeglarski, wioślarski, rybacki i inne. Pośród ludzi *hobby* i zbieraczy prym wiedzy znakomity polski koleopterysta, dr Witold Eichler, autor wielu książek naukowych z zakresu entomologii. Zbadał on faunę chrząszczy w wielu krajach świata i pozostawił w Polsce cenne zbiory. W czasie emigracji zbadał i zebrał wiele okazów w Rumunii i Palestynie, a obecnie kompletuje wielki zbiór chrząszczy rodezyjskich, liczący już obecnie ponad 1000 gatunków. Niektóre okazy z tego zbioru okazały się nieznanne i paru z nich Uniwersytet w Johannesburgu nadał imię klasyfikacyjne *Eichleri*. Niestety, dr Eichler nie otrzymuje wydatniejszej pomocy na swoje prace i troska o zabezpieczenie zbiorów i o konieczne naukowe wyjazdy do uniwersytetów południowo-afrykańskich, spada całkowicie na jego barki i obciąża jego skromne dochody z praktyki lekarskiej.

Z łalem opuszczałem okolice wodospadów Zambezi. Czas nie pozwolił mi poznać, tak jak bym pragnął, tego cudu z bajki i tej otaczającej go krainy, tak niezwykle ciekawej i ciągle jeszcze pełnej tajemnic. To moje zainteresowanie dla wszystkiego, co widziałem dookoła Livingstone i co jeszcze bým pragnął zobaczyć, starałem się przelać na rodaków, stale tam obecnie przebywających. Tylko u bardzo niewielu znalazłem zrozumienie. Większość machnęła tylko ręką: „At, Panie, żeby tylko do Polski jak najprędzej!”

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”
ukazały się następujące książki :
MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI

Tom II
Cena 400 milsów.

WŁADYSŁAW CHOMA

TOBRUK – GAZAŁA

Cena 180 milsów.

ROMAN FAJANS

W Ł O C H Y – 1944

Cena 200 milsów.

TEODOR PARNICKI

SREBRNE ORŁY

Tom II
Cena 300 milsów.

ST. PLESZCZYŃSKI — T. SOWICKI

GARDEN PARTY

Sztuka w czterech aktach
Cena 180 milsów.

BOLESŁAW PRUS

L A L K A

Tomy I — IV
Cena całości 800 milsów.

W D R U K U :
SZYMON ASKENAZY

KSIAŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI

MARIA KUNCEWICZOWA

ZMOWA NIEOBECNYCH

ROZDZIAŁ III

CZĘŚĆ II *)

Futro spadło na podłogę. Kobieta stała teraz po cieniu w samej sukni, którą także należało zdjąć. Wzdrygnęła się, było zimno. Przesunęła dłońmi po biodrach. Czerwona suknia... Ulubiona suknia Aleksandra Michelin. Zauważyła już dawno, że pewne suknie przyciągają pewnych ludzi. Lata całe nie miała na sobie tej sukni i przez lata nie słyszała nazwiska „Michelin”.

Zapaliła piecyk elektryczny, w jasnym kręgu ciepła usiadła na dywanie. W tej sukni go poznała... Było to w Warszawie, u przyjaciółki. Michelin wtenczas nie nazywał się jeszcze Michelin, tylko Aleksander Jelenicz. Chodził po pokoju, brał w rękę coraz to inny przedmiot, oglądał go i śmiał się. „Z czego pan się śmieje?” — zapytała. Drgnął, jak przebudzony. „Śmieję się? Ja nie wiedziałem”. Odstawił na miejsce pieszka z kopienaskiej porcelany. „Ten piesek taki ładny! I to pudełeczko ładne... I ten nóż chiński śliczny...” Półgłówkę — pomyślała. Powiedziała zaś: „No dobrze, a ludzie? Czy ludzie pana nie interesują?” Wtedy spuścił głowę; w sekundę postarzał. Coś stęknął i spod gestych brwi spojrzął wzrokiem ciemnym, pełnym urazy i żarliwości, wzrokiem średniowiecznego Braciszka. Inny gość zagadał do niej. Dopiero u wejścia dziwak nawinął się znówu i razem zeszedł ze schodów. Samochód czekał. Niewiadomo czemu, poprosiła, żeby wsiadł, — zrobił to bez słowa. Siedział, trzymając kapelusza na kolanach, ciągle jeszcze ponury. Poczuła się winna. „Czy pan często bywa u Wandy?” — coś trzeba było mówić. „Tak. Nie. Ja nie wiedziałem, że będzie tyle osób”. — „Nie lubi pan dużych zebrań?” — „Nie. Może polubię”. — „A co pan lubi teraz?” Twarz mu stopniała w uśmiechu, nawet czarne, faliste włosy zabłysły. „Wszystko, co można brać w rękę, patrzeć i nie mówić...” — „I co nie gryzie”, — przycięła. Śmiał się. W mówieniu głos miał niski i ciepły. Śmiał się natomiast bez głosu, rozdymając szyję, jak gołąb. I znówu nagłe zgąś. Powtórzył: „Wszystko, co nie gryzie”. Patrzył na plecy szofera z wargami w podkowę. Żygołak, — pomyślała. I raz jeszcze postąpiła wbrew sobie: „A co pan robi?” Poruszył się, zaskoczony. „No, czym się pan zajmuje? Zajęcie jakieś chyba pan ma”. Upuścił kapelusz, kropelki potu wystąpiły mu na czoło. „Próbuje być malarzem”. Samochód stanął. Rozstali się.

Była niedziela i późne popołudnie wrześniowe, kiedy zadzwonił. „Jakie plany na wieczór? Zresztą wszystko jedno. Proszę się ubrać, pojedziemy do Luna Parku”. Zanim zdążyła otworzyć usta, zawiesił słuchawkę. Przyjęła go wściekła. „Nie pozwolił mi pan dojść do słowa. Nie mogę teraz nigdzie jechać, czekam na gości”. — „Nie czeka pani”. — „I nie mam dziś samochodu, ani ochoty, nie cierpię pętać się po mieście w niedzielę”. — „Pojedziemy dorozką. Pani wcale nie wie, jak jest przyjemnie w niedzielę”. Mówił poważnie, z wielką wiedzą o tym, co czuła i co było jej potrzebne. Przesztraszyła się, potem naraz wszystko zapadło w niepamięć i świat czekał na nią prosty, wesoły, poddany nowym prawom. „No to chodźmy” — rzekła.

Jechali przez Nowy Świat, Krakowskie, Most Kierbedzia. Koń, ekskluzak, — z gracją wyrzucił nogi, kłasiąc kopyt o asfalt rozlegały się jasno i szeroko. Tłum na chodnikach podążał bez pośpiechu do świątecznych, nieobowiązkujących celów. Pod kolorowymi markizami kawiarni kobiety w skrzydlatych kapeluszach, dzieci znużone i szczęśliwe, opaleniem mężczyźni — w skupieniu jedli lody. Wpółśród rytmów zwolnionych, pod leniwym słońcem jesieni samochody wyglądały trywialnie. Uściśnięli się za ręce, dumni ze swojej dorozki. Rzeczywiście, w niewielkim, odkrytym powozie płynęli raczej niż jechali środkiem ulicznego nurtu, wydzieleni z masy, ale na tyle obecni, by sprawy ogólne były ich udziałem. Wokół pomnika Mickiewicza pałaty begonie. Aleksander uważnie spoglądał na swoją towarzyszkę. „Inna suknia, — powiedział, — nie tamta śliczna, czerwona”. — „Ach, skądże! Tamta była wieczorowa”. — „Zaraz będzie wieczór”. Znowu strach ją przejął. Tak, zaraz będzie wieczór z tym dziwaczny, obcym człowiekiem... „Co się stało?” — położył dłoń na jej rękach, patrząc w drugą stronę. Łodzie sunęły po Wiśle z lekko wydętymi żaglami, różowo złote od zachodu.

W Luna Parku tłok we wszystkich alejach i pawilonach był straszny. Aleksander pociągnął ją w najgęstszej ciżbie, zanosząc się piersiowym śmiechem tak głębokim, że — jak

ból — poruszył całe ciało. Zatrzymali się u wejścia do hali o naelektryzowanej podłodze, po której, — oszalała — tańczyła się z okropnym hukiem, wpadając jedne na drugie, dwuosobowe wózki, zaopatrzone w kierownice. Pary, ściśnięte w tych wózkach, krzyczały w niebogiej, walczyły o kierunek, zachowywały się, jak mieszkańcy pływającego domu. Aleksander splótł dłonie i przycisnął je do piersi. Na blyszczących oczach miał łzy zachwyty. Ale usta drżały mu z przerażenia... „Wejździemy tam, wejździemy?” — zapytał niemal ze zgrozą. Weszli.

Tak zwana kolejka górską przebiegała u krawędzi parku, tuż nad Wisłą. Po godzinie karkołomnych zabaw zajęli miejsca w wagoniku i wspięli się na szczyt metalowego rusztowania. Wieczór był już gwiaździsty. Urwisty spadek toru utworzył się z nagłością, od której serca stanęły. Zazgrzytało żelastwo, kolejka runęła w przepaść między ciemną wodą a ciemnym niebem, powiało ciepłem, wilgocią i śmiercią. Splotli się ramionami, wiatr wzburzył włosy. Kiedy pęd zjechał, twarz Aleksandra leżała na oparciu ławki, błada, wywołana z uczuć, nareszcie spokojna. Trzeba było odejść. Więc dźwignął się, oprzytomniał, pocałował śpiewaczkę w rękaw żakietu. „Dziękuję. Ja sam nigdy bym się na to wszystko nie zdobył”.

Z czasem czerwona suknia została przerebiona na dzienną i nosiła się w godzinach, których nigdy nie można będzie zapomnieć. „Nie trzeba jej niszczyć”, — mówił i podścielał swoje pałto, ilekroć odpoczywali na trawie, piaskach czy kamieniach. Chodzili milami, milami po odległych przedmieściach, siadywali pod mostami i na deskach w jakimś zakazanym tartaku, i na workach w składzie maki, zaglądali przez szyby do niskich domów, jeździli łodzią po Wiśle, zaszywali się w wikliny na piaszczystych wyspach, gdzie Antki całowały swoje lube i grały na harmoniach. Jadali cynowymi łyżkami zawiesziste barszcze po restauracjach złodziejskich, nocą pili „wyborową”, zagryzając śledziem, obudzili tyle ciekawości, tyle podsłuchali zdań mądrych, smutnych i zabawnych! Jedynymi drzwiami wchodzili, drugimi wychodzili, zostawiając za sobą szepty i napiwki. Ulubionym zajęciem było domyślać się, za kogo ich biorą. W jednej z gospód wisią, — upstrzony przez muchy, — afisz firmy Michelin: beczkowaty człowieczek, złożony z opon gumowych. Aleksander tego dnia pożerał niesłychane ilości kiełbasy. Śpiewaczka, spojrzawszy na afisz, roześmiała się: „Jeszcze kilka takich śniadaniek i z chudziela zamienisz się w Michelina”. Kiedy poszedł płacić do kasy, zawołała za nim: „Michelin, *Monsieur* Michelin!” — i cieszyła się, że gdy wyjdzie, kasjerka na pewno powie: „Ci jacyś narwani Francuzi!”. Później, w okolicznościach żartobliwych albo dla powściągnięcia nadmiaru, czułości, Aleksander już zawsze nazywał się Michelin.

Raz w robotniczej dzielnicy wcisnęli się na mecz bokserski do zatłoczonej sali. Mecz, choć amatorski, toczył się wedle wszelkich prawideł. Publiczność, spiętrzona pod sufitem, reagowała zrazu z godnością, później — w miarę coraz częstszej krwi i dłuższych odliczeń — ze zwykłym podnieceniem. Aleksander brał namietny udział w widowisku. Kiedy jednak ostatni zapasnik, obaj równie zmaltretowani, zwycięzca obojętny na tryumf, a zwyciężony — na klęskę, stanęli w świetle reflektora, sciskając sobie dłonie, — zesmutniał. „Chodźmy stąd, — powiedział, — ta walka nigdy się nie skończy”. Zapuścili się w brudne uliczki. „Dlaczego powiedziałeś, że walka się nigdy nie skończy? Przecież już skończona”. Wziął ją pod ramię. „Nie. Ja także myślałem, że sport, to taka zabawa dla silnych. Wyjadają energię i pójdą na piwo... Nie! Czy nie widziałeś twarzy bokserów, kiedy na zakończenie sędzia siłą dźwignął w górę ich uściśnięte ręce? Czy nie zauważyłaś, że brawa wtenczas ustały? Nikt nie był zadowolony. Ten zwycięzca nie przebaczył zwyciężonemu bólu, który musiał zapłacić za zwycięstwo. Zwyciężony nie przebaczył losowi, że tyle sił zmarnował na próżno. Publiczność nie przebaczyła, że nikt nie został martwy na arenie, że jej pieniądze, zapach, strach, były niepotrzebne. Nie, najdroższa, krew nigdy nie jest „na niby”. Krew zawsze przed czymś ostatecznym ostrzega”. Przytulili się do siebie, zdjęci złym przecuciem, bezzilni wobec gniewu, który tkłł się w oczach i wątrobach przechodniów.

Żeby wrócić w śródmieście, musieli przejść przez ogród, który był sercem żydowskiej części miasta. Nikt nie kazał Żydom tu mieszkają, ani zabraniał chrześcijanom po tym ogrodzie spacerować. Jednak żydowski świat oddzielił się od gojów, jak smoła od dziegiu, i czarnym nurtem spłynął między te duszne mury i tę suchą zieleń. Najpiękniejszy i najbardziej francuski pałac Warszawy zamykał perspektywę ogrodu. W wieku XVIII wzniosła go magnacka rodzina, otoczywszy — na użytek przyjaciół — wysokimi kwatrami grabiny, tłem, korzystnym dla peruk i krynolin. Po środku okrągła sadzawka miała odbijać romanse wytwornych kochanków. Z czasem *beau monde*, podległy nie mniej tajemniczemu prawom, niż rzeki i ptaństwo, cofnął się na po-

łudnie Warszawy. Pałac pozostał wśród Żydów.

Kiedy śpiewaczka i Aleksander znaleźli się teraz w jego pobliżu, po sadzawce pływali, marszcząc się i blyszcząc, księżycowe światło, a na nim łabędź. Dużo tęgich, krótkonogich kobiet w za ciasnych lakierkach siedziało dokoła, gdzie niedługo po cieniu sciskały się pary. Kwatery *à la Wersal* dawno znikły, park był teraz zaśmiecony, płaski i bez wdzięku. Jednak przed sadzawką, na krawędzi trawnika stał ktoś w zachwyceniu. Mały chłopczyk żydowski, ubrany w jarmukę i czarny surducik. Trzymał palec na ustach, zapatrzone w łabędzia. Płak ruszył się, wygiął szyję, łypiąc na chłopczyka złośliwym, pysznym okiem. Wreszcie, jak gdyby mało mu było jeszcze ludzkiego upokorzenia i własnych efektów, wznosił skrzydła i załopotał nimi, rozsiewając srebro. Chłopczyk przysiadł. Palec wyjął z ust, podziw zmieszany z lekkim rozszerzył jego oczy. „Kokoszkes” — błagalnie wyrzekł. I tak zastygł. Aleksander złożył dłoń i zaniósł się do łez swoim bezgłosnym śmiechem. „Jakież ta piękne!” — powtarzał. A później, kiedy siedzieli już w eleganckiej kawiarni, otoczeni „najlepszym” towarzystwem, odsunął filiżankę; widać było, jak płyn z trudem przechodzi mu przez gardło. Spłoszony do głębi, powiedział: „Najdroższa, świat nie przebaczy temu chłopcu, że on nie umie nazywać ptaków... A i on nie przebaczy światu, że nikt go nie nauczył słowa łabędź...”

Pewnego letniego popołudnia zabrnęli w uliczkę na tyłach Łazienek, spadziście, pełną drzew, poprzecinaną widokami na kanały i na kasztanowe aleje. Zielono było, cieniście i bardzo po polsku. Wilgi śpiewały *rallentando*, płowowłose dzieci, króciutko ubrane, blade z upału, biegały za kółkami. Siedli na parapiecie mostku, po którego stronie drugiej wznosił się pomnik króla Sobieskiego, pogromcy Turków. Koń wielkiego wojownika zapalczywie trątał muzeum, a król w długopłym żupanie, natchniony, buławą wskazywał dalsze cele swojej chwalebnej kampanii. Tymczasem we wnętrzu muru, pod ogrodową sztachetą, żołnierz tej samej Rzeczypospolitej, która zwyciężyła pod Wiedniem, żołnierz tym od króla bardziej zwycięski, że żywy i o kilkanaście lat młodszy, sciskał dorodną kucharkę. Aleksander wyglądał szczęśliwy. Śpiewaczka trzymała w ręku pęczek leśnych goździków, które mocno pachniały. Jej los — zawsze dotąd — rozmięł się z leśnymi goździkami. Od kiedy poczuła ich zapach w dzieciństwie, wiedziała, że jest w nim zawarta jakaś obietnica. Dorósłszy, spotkała wprawdzie kilku mężczyzn, którzy zdradzili przed nią różne sekrety, a za jednego z nich wyszła nawet za mąż, ale goździki nie miały nic wspólnego z tymi sekretami. Po dziesięciu latach małżeństwa mąż umarł. Jej kariera śpiewaczki rozwijała się pomysłnie. Miała t. zw. przyjaciół. Jednak obietnica goździków nie spełniała się. Dopiero w czerwcu, który nastąpił po tym wrześniu, kiedy Aleksander zabrał ją do Luna Parku, właśnie tego dnia w obliczu króla Jana, uświadomiła sobie, wdychając woń ulubionych kwiatów, że na schyłku młodości otrzymała wreszcie tajemniczy dar. Aleksander nachylił się nad bukiecikiem. „Jak dobrze”, — powiedział. „Jak dobrze, Michelin!” — powtórzyła i nigdy słowo „dobrze” nie było pełniejsze dobroci. „Czy wiesz, dlaczego wtenczas we wrześniu zadzwoniłem?” — zapytał. — „Twoja czerwona suknia nie dawała mi spokoju! Ty wiesz, jak ja uwielbiam silnych i żal mi ich, i żal siebie, i tak strasznie potrzeba mi być z kimś, co nie żałuje, z kimś, co śpiewa jak ptak i narzuca się światu... Ty w twojej czerwonej sukni mówiłaś tak śmiało, pytałaś i nie słuchałaś odpowiedzi, taka byłaś oczywista, bez żadnych kompleksów... Nazajutrz po wieczorze u Wandy poszedłem na twój koncert. Siedziałem bardzo wysoko. I ty z góry wyglądałaś taka mała i samotna na estradzie, tak akompaniator oddzielony był od ciebie fortepianem, jak trumna. A jednak wszystkie patrzyli tylko na ciebie, trzymałaś tłum na uwięzi swoim głosem i odeszłaś, kiedy jeszcze bili brawa, wesoła, taka niezależna. Wtenczas pomyślałem: „Tylko z nią. Tylko ona odudczy mnie strachu przed ludźmi i żalu za nich. Tylko ona”. Śpiewaczka spuściła głowę. „Czy odudczyłam?” — „Tak, najdroższa. Odkąd ty jesteś ze mną, nie boję się. Ani tego, że jestem Żydem, ani tego, że jestem nim tak mało”. Uśmiechnął się nagłym, dziecinny uśmiechem. „Umieć już mówić: łabędź. Nauczono mnie”. Odczuła wielką radość, że siedzą tak uściśnięci jak żołnierz z kucharką i że goździki pachną. Tymczasem on mówił dalej: „Bądźmy zawsze razem. Oddaję ci moje życie, rób z nim, co chcesz. Postanawiaj”. Nie słuchała; czuła tylko to żarliwe ciepło, pełne ciszy, w którym zapach kwiatków znajdował pełną wymowę.

Ale potem wracali przez Plac Zbawiciela i Aleksander pociągnął ją do kościoła. Odbywało się nabożeństwo ku czci Serca Jezusowego. Ludzie, klęcząc w blasku świec, przyśniętym dymami kadzidła, głośno zaklinali Najświętsze Serce, by zmiłowało się nad nimi. Aleksander był wzruszony. Stali w bocznej nawie, w mistycznym, chłodnym zmroku. „Kochana, — powiedział znowu, — przyjmij

mnie. Każ mi się modlić. Powiedz, co mam robić i czym mam być. Ja zrobię wszystko, co każesz”. Wtenczas obudziła się ze słodkiego snu. O wstydzie, o smutku! Odczuła zawód. Przyjmij mnie? Spojrzała bokiem na wysokiego, młodego człowieka, na jego twarz napiętą w oczekiwaniu ważnych zleceń — i odsunęła się. Nie, nie miała dość sił, by przyjąć na własność to ciało i tę duszę. Po pracowitej młodości, po dziesięciu latach aż nadto trzeźwego małżeństwa, po trudnych sukcesach śpiewaczek pragnęła sama być „przyjętą”, odpocząć, śnić na jawie, otrzymywać rozkazy. Tymczasem Aleksander, tak mądry i władczy w sferze uczuć, upierał się żyć w sferze jednoznacznych faktów. Chciał, by ona uczyła go nowego świata i nowej religii, żeby obarczyła się nim na wieczność.

Od tej chwili wszystko zaczęło się psuć. Mijały lata miłości niezupełnej, okresy snu coraz krótsze, jawy coraz boleśniejsze. Wreszcie pewnego październikowego rana Aleksander — było to w Rudzinie — wyszedł z brzeźniaka i zbliżał się do niej przez trawnik. Od razu zrozumiała, że zbliża się po raz ostatni. Stanął o krok od niej i patrzył. Potem roześmiał się. Tak samo, jak kiedyś w Luna Parku, na progu hali oszalałych wózków, przycisnął ręce do piersi i na blyszczących oczach miał łzy zachwyty. Ale zaraz zesmutniał, twarz jego ścieła się pod jakimś mroźnym powiewem z głębi serca. „Do widzenia”, — powiedziała, — ja odejdzę. — „Dlaczego?” Zerwała się i biegła za nim. Nie wiedziała, co mówić, próbowała wszystkich słów „swoich własnych”, które miewały niezawodny czar. W pewnym momencie nogi odmówiły posłuszeństwa, oparła się o drzewo, szepcząc: „Michelin! *Monsieur* Michelin...” Odwrócił się. Wziął ją za ramiona i z twarzą przy twarzy powiedział: „Nie zatrzymuj mnie. Dziś jest żydowski Sądny Dzień. Muszę być sam dzisiaj. A pewnie i zawsze...” Nasłuchiwała, póki w brzeźniaku trzaskały gałązki. Potem spojrzała po świecie i po sobie. Drzewa miały liście czerwone, ona miała czerwoną suknię, — taki był kolor samotności.

Piecyk wypalił się i ciepły krąg na dywanie zgąś. Było znowu zimno. Szybko zdjęła suknię, zarzucała szlafrok. Po chwili, nie świecąc lampy, znalazła się w łóżku. Nazajutrz miała spotkanie ze znanym kapelmistrzem, które mogło rozwinąć się w próbę. Mocno zacisnęła powieki, sen taki ważny jest dla śpiewaczki. Jednak sen nie przychodził. Przywołana do życia nazwiskiem Michelin czerwona suknia leżała obok. Gdzie jesteś, Aleksandrze? — pytała w myśli śpiewaczka. — Czy twój Sądny Dzień jeszcze trwa?

„Poczuwajcie się do bytu, poczuwajcie się do istnienia”, — odpowiadał głos lorda z bródki. Jakże ja mam „dźwigać świat na swoich barkach”, — spierała się, — jeżeli losu Aleksandra nie zdołałam podźwignąć? Jak mam się „poczuwać do wspólnoty wszystkich ze wszystkimi”, jeżeli nawet szczęścia nie potrafiłam podzielić z Aleksandrem?

Straszny żal ją ogarnął. Michelin, najdroższy, skądże przyszło ci do głowy, że jestem silna i że nie boję się istnienia? Dlatego tylko mnie kochałeś, że nie miałam odwagi krzyknąć do ciebie, jak wtenczas do lustra, kiedy byłam mała: nie, nie, to nie ja! A tak przecież pragnęłam, żebyś właśnie ty zobaczył, że ja prawdziwa jestem nieobecna na estradach, że to nie ja chodzę w czerwonej sukni i narzucam się światu... Że ja prawdziwa jestem nikłym cieniem... Łzy zmogły ją, zasnęła.

Zbudziła się o świcie z sercem, bijącym głośno. Coś zostało jej we śnie objawione. Ale co? Cisnęła palcami skronie. Aha! — nagłe olśnienie. Siadła na łóżku. W mętym świetle poranka zobaczyła czerwoną suknię, zmiętą na krześle, i tuż nad krzesłem jak gdyby blade słowa, pisane w powietrzu: Aleksander jest w Rosji. Zerwała się. Ach, więc jeśli w Rosji! Jeśli on jest!... Trzeba natychmiast coś zrobić, gdzieś jechać, pisać do kogoś, starać się o adres...

Podeszła do biurka i zobaczyła list. Duszając się niemal, drżącymi palcami rozzerwała kopertę z napisem „*par bonté*”. Kartka zaczęła się od słów: „Zofio, długo bardzo nie mogłam tego listu napisać...” Przebiegła oczami stroniczkę, — podpis był: „Sciskam Ciebie z całej duszy. Zuzia”.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

POEZJA KARPACKA

Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich

Wiersze:

B. Andrzejewskiego, J. Bielatowicza, M. Hemara, A. Jamama, B. Kobrzyńskiego, J. Laszkowskiego, S. Miodożeńca, J. Nałęcz, K. Nałęcza, T. Sowickiego. — Pieśń Brygady.

Cena: 200 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE”, Jerozolima

*) Por. nr 24 (42), 1 (43) i 2 (44).

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓWWydanie drugie
Cena 200 milsów

R. O. SMITH

Anglia, widziana oczyma jej pisarzy

Znane jest powiedzenie, że książki są najlepszymi ambasadorami państwa. W pewnym sensie jest to niewątpliwie prawda, lecz jeśli przyjmujemy, że główną funkcją ambasadora jest pomyślnie i dokładnie reprezentowanie swego państwa w kraju, w którym urzęduje, zdamy sobie jasno sprawę z niebezpieczeństwa, tkwiącego w bezkrytycznej ufności do książek. Oczywiście, czytelnik polski, który ma w szerokim zakresie dostęp do literatury angielskiej, będzie mógł odtworzyć sobie jasny obraz Anglii. Obraz ten, choć jasny, będzie jednak fragmentaryczny. Nawet wielu pisarzy świata (taki, powiedzmy, Flaubert, Dickens, czy Dostojewski) dają jedynie cząstkowy obraz kraju, w którym żyją i tworzą. I byłoby bardzo niebezpieczne (ponieważ musiałoby to prowadzić do socjalnych, politycznych i osobistych nieporozumień), gdybyśmy uczynili błąd, polegający na utożsamianiu „narodu angielskiego” lub „angielskiej areny politycznej”, lub jakiegokolwiek innego równie szerokiego uogólnienia z wyobrażeniami o ludziach lub społeczeństwie, jakie daje czytelnik angielskiej literatury. W tej, jak i we wszystkich innych sprawach, musimy przede wszystkim wiedzieć, co stanowi ośnowę pracy pisarza, do jakiej warstwy społecznej trzeba go zaliczyć z pochodzenia i zawodu, jak dalece poglądy jego są odbiciem poglądów szerokich mas ludności; na ile są one czymś szczególnie właściwym samemu pisarzowi lub niewielkiej grupie ludzi, do której należy. Dla przykładu mogłoby wskazać na Polaka, Conrada, który najlepiej władał językiem francuskim, lecz został wielkim pisarzem angielskim. Byłoby napewno głupotą wytwarzać sobie sąd o Polsce lub Anglii na podstawie dzieł Conrada, będących raczej wyrazem silnych idiosynkrazji i noszących piętno swoiściego, indywidualnego talentu. A jednak tego rodzaju sąd jest często wypowiadany.

Wszyscy znamy ludzi, których zdaniem Stany Zjednoczone są rajem dla gangsterów i ich, otulonych w futra, blond kochanek. Stała lektura książek Edgara Wallace’a doprowadza czytelników do przekonania, że we wszystkich przejawach angielskiego życia spotykamy się regularnie z najróżnorodniejszego rodzaju tajemniczymi zbrodniami. Drżę na myśl co badacz angielskich obyczajów będzie sądził o mej ojczyźnie po przeczytaniu książki *Nie ma orchidei dla panny Blانش*, — tego znieprawionego wypracowania o pornograficznej perwersji.

Dałem przykłady drastyczne i przesadne; odzwierciedlały one jednak dość ściśle powszechnie przyjęte zwyczaje czytelników. Nawet inteligentny czytelnik, gdy jest głęboko wzruszony dziełem jakiegos pisarza, skłonny będzie do wydania sądu o jego kraju w sposób stronniczy, kierując się użytą przez pisarza oceną wartości i tła powieści. W tej sprawie, jak i we wszystkich innych, najważniejszą rzeczą jest zrównoważony, rozumny osąd krytyczny. Musimy postępować bardzo ostrożnie i okazać wielką cierpliwość i pilność, jeśli chcemy odtworzyć sobie rzeczywisty obraz kraju na podstawie jego literatury. Musimy wiedzieć i dobrze sobie zapamiętać, że, po pierwsze, pisarz nie jest tylko wybitnie indywidualną (osobowością, lecz jest również wytworem swej epoki i swego środowiska. Po drugie, — musimy pamiętać, iż z dzieła pisarza czerpiemy dwójakiego rodzaju wiadomości. Daje on nam informacje o ocenie wartości, dokonywanej przez warstwę społeczną, do której należy, i daje nam informacje o swej reakcji w stosunku do tych „przyjętych ocen. Pod kątem widzenia naszych, tu omawianych, zainteresowań — raczej socjologicznych niż literackich — oba te rodzaje wiadomości są istotne i ważne.

W niniejszym artykule staram się dać czytelnikowi kilka wskazówek, które dopomogą mu w sporządzeniu busoli, mającej go prowadzić po bezkresnych morzach literatury angielskiej. Rozważymy dla przykładu, — bo to dobry przykład, — okres na przełomie ubiegłego i obecnego stulecia, który widział rozkwit znanych całemu światu postaci: Galsworthy’go, Wellsa, Shawa, Bennetta, Oskara Wilde’a Kiplinga i Hardy’ego. Po przeczytaniu dzieł tych wszystkich siedmiu pisarzy odtworzyć sobie możemy dość dokładny obraz społeczeństwa angielskiego na przełomie wieku XX; możemy poznać jego idee, oceny wartości i przesady. Lecz każdy z tych pisarzy, wzięty oddzielnie, da nam obraz, który musi wywołać mylne wyobrażenia. Weźmy dla przykładu dzieła Galsworthy’ego. Jak wiadomo, był to pisarz bardzo popularny w Niemczech po pierwszej wojnie światowej. Wydaje mi się rzeczą wysoce prawdopodobną, że szeroko rozpowszechniony wśród Niemców w okresie pomiędzy dwiema wojnami pogląd, iż Anglia chyli się ku upadkowi, — w pewnym stopniu zawdzięcza swą popularność świetnej opowieści Galsworthy’go o zgniliznie, toczącej pewną część angielskiej klasy panującej. Mowa o *Posiadaczach*. Warto by przeprowadzić pobieżną analizę tego teutońskiego entuzjazmu. Niemcy, ze swą psychologią kłeski, z pewnością skłonni byli do uwierzenia, że warstwa angielskich średnich właścicieli ziemskich znajduje się w stanie rozkładu, — tak jak to opisano w *Posiadaczach*, jest jednak równie zrozumiałe, że ciężkie warunki, w których Niemcy się znaleźli, sprawiły, iż podświadomie zazdrościli oni bogactwa, porządku i bezpieczeństwa,

stanowiących tło, na którym rozgrywa się główna akcja książki. Tym sposobem fabuła książki przyniosła im zaspokojenie — w wyobraźni — głęboko w podświadomości tkwiącego pragnienia. Galsworthy dawał im dziecinnie-bajkowe zadowolenie, bo wprowadzał ich w świat szczęśliwszy od ich własnego; ponadto dawał im bardzo podnoszące na duchu poczucie, że ich męskość jest czymś bardziej wartościowym, niż zniechęcałość angielskiej klasy średniej. Wszyscy przechodzimy przez ten podwójny proces i wymaga się od nas, jako od ludzi inteligentnych, byśmy sobie zdawali sprawę z jego podwójności i umieli łączyć w spójną całość oba fragmenty naszego doświadczenia poznawczego.

Współcześni Galsworthy’emu Shaw, Wells i Bennett zajęli wyższe od niego miejsce w hierarchii pisarskiej. Wells jest pisarzem niezwykle płodnym i posiada prawdziwie twórczy talent, jednakowoż olbrzymi materiał jego dzieł daje się z łatwością podzielić na dwie grupy. Jedna z tych grup (a z nią pokrewna jest i twórczość Shaw’a) wywodzi się

z owego, rozwidlającego się we dwa wielkie prądy, postępowego ruchu naukowego XIX w., który uczynił możliwym powstanie świata potencjalnego dostatku z r. 1944, a — via fabianizm — spowodował, iż dojrzelśmy do uznania potrzeby i możliwości planowanej gospodarki państwowej. Druga grupa jego dzieł (ta znów przypomina nam Arnolda Bennetta) wywodzi się z jego osobistych doświadczeń, pozyskanych w czasie, gdy wznosił się on z nader skromnego środowiska ubożego mieszczaństwa aż do społecznych wyżyn potęgi i wpływu. Osiągnął je dzięki wykształceniu i pieniądzm, które przyniosły jego wielkie zdolności. Nie ulega wątpliwości, że należy przeprowadzić tego rodzaju podział jego twórczości na dwie grupy; nie ulega również wątpliwości, że dla badacza spraw angielskich obie te kategorie twórczości Wells’a są równie cenne. Dają one dwa obrazy. Jeden z nich przedstawia świat liberalnych myślicieli, porывujących w swym idealizmie, ufnych w swęj wierze w przyszłość, pilnych w zbieraniu faktów, — naukowych i ekonomicznych fak-

Lotnictwo polskie nad Europa

(Dokończenie ze str. 7-ej)

Z pomocą walczącej Warszawie

Dnia 1 sierpnia wybucha powstanie w okupowanej przez Niemców Warszawie. Polski korpus walczy we Włoszech, polska dywizja pancerna walczy w Normandii, polska brygada spadochronowa ma już wyznaczone zadanie na froncie zachodnim. Serce i myśli wszystkich żołnierzy polskich kierują się ku walczącej samotnie Warszawie. Żołnierze lotnictwa polskiego są jedynymi, którzy mogą nieść pomoc swej krwawącej się stolicy.

Niestety, nie wszyscy. Lotnictwo polskie wprawdzie się znacznie rozbudowało po wrzesniu 1939 r., ale rozwój jego poszedł przede wszystkim w kierunku tworzenia dywizjonów myśliwskich oraz myśliwsko-bombowych jako typów samolotów, najbardziej przystosowanych do możliwości i potrzeb polskich. Skrzydła Spitfire’ów i Mustangów nie nadawały się z natury rzeczy do niesienia pomocy Warszawie. Dywizjony Mosquitów mogłyby dolecieć nad Warszawę, ale musiałyby lądować na bazach rosyjskich, niestety zaś, władze rosyjskie przez długi czas nie chciały na to udzielić pozwolenia samolotom brytyjskim i amerykańskim, coż zatem mówić o samolotach polskich, skoro rząd polskiego Rosja nie uznawała. Z baz angielskich we Włoszech nad Warszawę i z powrotem mogła wyruszyć tylko nikła część lotnictwa polskiego, wyposażona w ciężkie, długodystansowe bombowce.

Był taki jeden polski dywizjon, wyposażony w długodystansowe maszyny, który już od lat kilku specjalizował się w pracy nad terenem Polski. W kabinach samolotów tego dywizjonu udawali się z Anglii agenci polskiego rządu oraz oficerowie i podoficerowie armii polskiej, ze-skakiwali na spadochronach na ziemię Polski, by tam prowadzić podziemną robotę. W roku 1942 jednemu z samolotów tego dywizjonu nawaliły dwa motory w drodze powrotnej, w wyniku czego wodował 500 metrów od brzoza Anglii i zatonął. Załoga uratowała się na dinghy. Ponieważ wypadek ten zdarzył się jej już po raz drugi, przeto gdy z bazy pojechał po nich samochód, zamiast ciepłych i suchych ubrań znaleźli w walizkach, przysypanych przez kolegów, — spodełki kąpielowe i ży-czenia.

Otóż po paru latach pracy dywizjon ten nabrał takich doświadczeń, że nawet zorganizowano w okupowanej przez Niemców Polsce zakonspirowane lotniska, wyposażone w nadawcze stacje radiowe, na których to lotniskach nocami lądowały samoloty polskie z Anglii, w warunkach zupełnie specyficznych: oddziały armii krajowej z karabinami maszynowymi zapewniały bezpieczeństwo na wypadek pojawienia się Niemców, inni żołnierze z latarkami i pochodniami wyznaczali *rumowoy* do lądowania na szczerym polu. Na wiosnę 1944 r. tą właśnie drogą udał się do Polski dr Rettinger, sekretarz premiera Mikołajczyka, dokonał tam z ramienia polskiego rządu lustracji podziemnych władz i urzędów i wrócił w sierpniu do Londynu z obszernym raportem oraz w towarzystwie p. Arciszewskiego.

Otóż gdy bezpośrednio po wybuchu powstania w Warszawie miarodajne, oficjalne czynniki alianckie stwierdziły, że bez korzystania z baz rosyjskich niesienie jej pomocy drogą lotniczą jest niemożliwe, samoloty polskiego dywizjonu były pierwszymi, które pospieszyły z pomocą oblężonej Warszawie. Z kolei poleciały samoloty południowo-afrykańskie i brytyjskie. Wreszcie 18 września doszła do skutku pierwsza i jedyna wielka dzienna wyprawa lotnictwa U.S.A.

Ogółem wysłano Warszawie drogą powietrzną około 220 ton sprzętu wojennego oraz zaopatrzenia, z którego część nie została odnaleziona (gdyż wpadła do Wisty), część dostała się do rąk nieprzyjaciela, a część mniejszym grupom armii krajowej, część wreszcie odebrała i zużyła bezpośrednio ludność, — w szczególności żywność i leki.

Dowództwo Armii Krajowej w Warszawie odebrało co najmniej 75 ton sprzętu i zaopatrzenia netto. Oddziały Armii Krajowej, wal-

czące pod Warszawą (w puszczy Kampinowskiej), około 25 ton netto. Wśród sprzętu i zaopatrzenia wysłanego wymienić należy: broń i amunicję przeciwpancerną i małokalibrową, materiały sanitarne, żywność w konserwach i poręczach wojskowych, przy czym jako opakowania używano bielizny.

W ciągu dwu miesięcy obrony Warszawy wystartowało celem niesienia jej pomocy ogółem 300 samolotów alianckich, z tego:

108 samolotów Stanów Zjednoczonych,
90 Polskich,
60 Południowo-Afrykańskich,
42 Brytyjskich.

Straty najwyższe w liczbach bezwzględnych poniosło lotnictwo polskie, bo straciło 105 lotników. Lotnictwo Południowej Afryki straciło 100 lotników. Brytyjski dywizjon R.A.F.’u stracił 33 lotników. Amerykanie — 11. Otrzymano dotąd wiadomości, że 9 lotników polskich i 7 angielskich i południowo-afrykańskich uratowało się na spadochronach i znajduje się obecnie w szeregach Polskiej Armii Krajowej.

Dwudziestu dwu uczestników lotów nad Warszawę odznaczonych zostało najwyższym polskim odznaczeniem wojennym, Virtuti Militari. M. in. order ten otrzymał *Wing Commander* Pitt, dowódca dywizjonu brytyjskiego, który z początku sam nie brał udziału w lotach. Skoro jednak straty jego dywizjonu wyniosły 40% samolotów startujących, sam poleciał i lot wykonał. Również płk. Truesdell z lotnictwa armii Stanów Zjednoczonych, który dowodził jego wyprawą nad Warszawę, otrzymał ten order.

Płk. Truesdell odznaczył się nie tylko umiejętnym przygotowaniem i wykonaniem tak trudnej dziennej wyprawy, ale również i osobistą odwagą. Samolot jego bowiem został trafiony przez niemiecki pocisk artylerii przeciwlotniczej i zaczął się palić. Trzech członków jego załogi na jego rozkaz ratowało się na spadochronach, pozostali starali się ogień ugasić. Po pewnym czasie udało im się ogień ugasić i płk. Truesdell doprowadził samolot do bazy, i choć musiał lądować bez podwozia, jednakże siebie i resztę załogi uratował.

Myśliwcy niemieccy próbowali zaatakować wyprawę amerykańską między Toruniem a Warszawą. Jednakże zostali odparci przez osłonę myśliwców amerykańskich. Warszawę rozpoznano łatwo już z dala, po dymach, unoszących się nad nią, oraz ogniu szalejących w niej pożarów. Nad Warszawą ogień artylerii niemieckiej był silny. Niemal każdy z samolotów otrzymał odłamki pocisków. W jednym pilot został zabity, maszynę doprowadził jego zastępca. Inny samolot, zresztą jedyny, który z tej wyprawy nie powrócił, wybuchł w powietrzu, w chwili dokonywania zrzutów nad Warszawą. Wśród załóg, biorących udział w wyprawie, znajdowali się Amerykanie pochodzenia polskiego. Wielu z nich umie mówić po polsku. Jeden z nich, którego rodzice pochodzili z Warszawy, po raz pierwszy zobaczył swe miasto rodzinne. Niestety, zdjęcia fotograficzne, przywiezione z tej wyprawy, potwierdziły w pełni wyniki obserwacji wzrokowej: że mianowicie Warszawa jest dziś już nie miastem, ale kupą gruzów.

Czytelnika zdziwi może wyżej przytoczona liczba, mianowicie że lotnictwo polskie wysłało z pomocą Warszawie 90 maszyn, skoro brytyjskich maszyn poleciało tam 42, a amerykańskich — 108. Wy tłumaczenie jest proste: polskie załogi latały wielokrotnie. Amerykańskie maszyny poleciały raz tylko. W czasie tych dwumiesięcznych wypraw nad Warszawę straty polskiego dywizjonu wyniosły półtora raza tego, co wynosił jego normalny stan bojowy. Gdyby nie dostarczanie mu uzupełnienia — dywizjon ten już w szóstym tygodniu operacji przestałby istnieć: nie pozostałaby w nim już ani jedna załoga.

Polski Wódz Naczelny, w uznaniu zasług, położonych przez dywizjon w niesieniu pomocy walczącej samotnie Warszawie, nadał mu nazwę „Dywizjonu Obróńców Warszawy”.

Mieczysław Pruszyński

tów-narzędzi, przy których pomocy budować będą codzienne, powszednie życie, siedlisko swych nadziei i ideałów. Drugi obraz przedstawia społeczeństwo, w którym snobizm socjalny dręczy i kaleczy jednostki wrażliwe a uzdolnione. Jest to obraz marnowania się i niweczenia w kastowym społeczeństwie. A jednak od rozpaczcy chroni ich ta nie dająca się stłumić siła żywotna, którą tak wiernie odmalował Dickens, a którą w naszych czasach tak wspaniale umieją odtworzyć Chaplin i Hasek.

U Bennetta, w jego obrazie życia prowincjonalnego, widzimy pewną wariację tego tematu, rzutowaną na niezależne środowisko przemysłowe środkowej Anglii, zamiast na „szlachecko”-handlowe południe. W późniejszych czasach pisywał on poematy, w których stawiał luksus wielkich hoteli i opiewał powodzenia finansowe, jako środek, wiodący nie tylko do materialnego dostatku, lecz również do świata słodkiego nieróbstwa. W świecie tym staje się możliwe subtelne różniczkowanie i zaspokojenie wyrafinowanych rozkoszy smaku. Jest to temat rdzennie angielski, — tak jak angielskie są tematy, obie-rane przez Galsworthy’go i Wells’a. Wszystko, czego się od nas wymaga, to stworzenie jednego fotomontażu z tych zdjęć, czynionych pod różnymi kątami widzenia, — a przed oczyma naszymi stanie w swej życiowej prawdzie ważny sektor angielskiego życia. Widzieć będziemy obraz społeczeństwa, opartego o pieniądź, które daje wielkie możliwości, lecz żąda wielkich ofiar; którego jedne sioje znajdują się w stanie rozkładu, inne — wypuszczają nowe pędy. W pewnym zakresie otwiera ono drogę talentowi, w innym — zamyka wrota możliwości.

Tomasz Hardy, który opisuje świat jeszcze przedprzemysłowy, jeszcze feudalny, daje nam możliwość spojrzenia z nowego kąta widzenia. Widzimy u niego walkę pomiędzy miłością ku starym, poświęconemu tradycji, życiu, w którym każdy ma wyznaczone swe miejsce i funkcje, a budzącymi się nowymi siłami, które, otwierając nowe możliwości, niszczą dawne wzorce. Zapoznając się z nim, uświadamiamy sobie, że rolnictwo jest wciąż jeszcze jednym z dwu wielkich przemysłów Anglii i, że nawet ciche, nie zepsute miasteczko związane jest z całokształtem angielskiej przemiany społecznej. Nowe rysy, które dodaje Hardy do naszego obrazu, nie są z nim sprzeczne; pogłębiają go wprawdzie i wnoszą nowe warianty, nie niweczą jednak jego więzi i jednności.

Jakiż jest wkład Oskara Wilde’a do naszego obrazu? Jego świat to świat wysokiej arystokracji, który cechuje znużony estetyzm, formalizująca hipokryzja, pospolicieść i płaskość, stanowiące jego obronę, rację bytu i hasło. Nie ulega wątpliwości, iż pod pewnymi względami daje nam on wierny obraz wysokich sfer towarzyskich swych czasów. Ponieważ jednak pomija tych członków opisywanej przezeń klasy społecznej, którzy brali czynny udział w rządach państwem i których nawet najzacieklejsi wrogowie nie mogli oskarżać o nieudolność lub obojętność, — z danego nam przez Wilde’a obrazu nie można wyciągać wniosków socjologicznych. Powiedzieć możemy co najwyżej, że obraz ten jest prawdziwy, jeśli chodzi o niewielką grupę ludzi, którzy stracili już swą rolę na angielskiej scenie.

Mimo iż nieliczni tylko umieszczają Kiplinga tak wysoko w hierarchii artystycznej, jak Wilde’a (nie należy zapominać, że Wilde jest autorem jednych z najdowcipniejszych w literaturze angielskiej komedii), — nie ulega wątpliwości, że Kipling umożliwia nam wejście w życie i charakter Anglika w daleko bardziej typowych dlań przejawach. Znow jednak pole jego obserwacji stanowi tylko małą część wielkiej angielskiej sceny. Nieświadomie wchłoniął on w siebie najbardziej bojowe hasła skrajnego szowinizmu i uwierzył w wartość brutalnej siły dla mężczyzny, który ma spełnić olbrzymie obowiązki, a liczyć może tylko na swe własne, jakże kruche, siły. Lecz jednocześnie uczy on nas głębokiego, prawdziwie angielskiego szacunku dla rzemieślnika, który żyje i pracuje na swej rodzinnej ziemi; dla idealizmu i samowyrzeczenia się w pocie czoła pracującego urzędnika w Indiach, który — w samotności, w warunkach nie do zniesienia — szczerze usiłuje uczynić wszystko, co jest w jego mocy, dla polepszenia doli nędzarza-tubyłca. W świetnym ujęciu daje on nam również istotę historycznej prawdy, świadomości wielkiej nieprzerwanej tradycji przeszłości, która coraz to znajduje oddźwięk w angielskim życiu i piśmiennictwie.

Gdy wydajemy sąd o Anglii i narodzie angielskim, gdy oceniamy uczucia Anglików i przewidujemy ich reakcje na światowe wydarzenia, musimy rozważyć wszystkie aspekty angielskiego życia, idei i uczuć. Nie wolno nam, dlatego tylko, że ośobiście wolimy jeden punkt widzenia ponad inne, — utożsamiać jeden poszczególńy aspekt z całą Anglią. Jeśli tak uczynimy, nasz proces myślowy będzie niezrównoważony. Lecz jeśli zadamy sobie trud nagięcia się do krytycznej dyscypliny, o której wspominałem, poznamy literaturę angielską okaże się prawdopodobnie najlepszym sposobem zrozumienia charakteru Anglika.

Thum. h. z.

POLONICA W KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

O sojuszu brytyjsko-polskim

England and France 1939—1943 by R. B. McCallum, Fellow of Pembroke College, Oxford. Londyn, Hamish Hamilton, 1944. Str. 186.

Docent historii nowoczesnej w Oxfordzie, R. B. McCallum, ogłosił książkę o stosunkach angielsko-francuskich w okresie obecnej wojny. Autor porusza ubocznie i inne zagadnienia, m. in. sojusz angielsko-polski z r. 1939. „Słynne oświadczenie” Chamberlaina z dn. 31 marca 1939 r., że jeśli Polska padnie ofiarą niesprowokowanej agresji, Wielka Brytania udzieli jej wszelkiej pomocy (*would lend Poland all the support in their power*), uważa za objaw „całkowitej rewolucji” w postawie angielskiej w stosunku do Europy Środkowej. Traktat lokarneński nie zawierał gwarancji brytyjskiej dla zachodnich granic Polski; przeważająca część opinii w Wielkiej Brytanii przeciwstawiała się też tego rodzaju zobowiązaniom; rady dominialne zajmowały jeszcze bardziej izolacjonistyczne stanowisko; zachodnie granice Polski należały do tych postanowień Wersalu, które najczęściej atakowała publicystyka angielska; półfaszystowski reżim pułkowników Piłsudskiego nie cieszył się sympatią w Wielkiej Brytanii. „Ale obecnie zagrożenie polegało nie na tym, czy ta lub inna linia graniczna jest sprawiedliwa, lecz czy jakakolwiek granica niezależnego państwa jest

bezpieczna”. Być może, — ciągnie dalej autor, — Wielka Brytania postępowała w sposób niemądry, krótkowzroczny, nieprzytomny, nie stanowiący mocniej na gruncie nienaruszalności granic wersalskich, być może, raczej miał prezydent Wilson, kiedy domagał się, by członkowie Ligi Narodów wzajemnie poręczyli sobie granice, ale ta wzajemna poręka wydała się „sztywna, ultralegalistyczna i niepraktyczna zarówno ostrożnemu realizmowi konserwatystów, jak łatwemu idealizmowi radykałów”. Ze przy takich nastrojach najazd na Polskę stał się dla Wielkiej Brytanii *casus belli*, że poszło o sprawę tak niepopularną w kołach angielskich, jak Gdańsk i Pomorze, świadczy najlepiej, do jakiego stopnia rząd hitlerowski przebrał miarę.

Opóźnienie w wypowiedzeniu wojny przez Wielką Brytanię przypisuje McCallum nadziejom na pośrednictwo Mussoliniego, które odniosło skutek w r. 1938, — żywiono „upartą nadzieję, że w ostatniej chwili nastąpi cud”. Względów technicznych i gierka Ribbentropa, który przyjął oddzielnie ambasadorów brytyjskiego i francuskiego, spowodowały z kolei opóźnienie wypowiedzenia wojny przez Francję; ale istnieją także podstawy do przypuszczenia, że Bonnet ociągał się do ostatniej chwili. Jak Makbet, był on *inform of purpose* (kaleki na duchu), i trzeba mu było przemocą wcisnąć do ręki sztylet.

Polska w przyszłej federacji światowej

Total Peace. What makes wars and how to organize peace by Ely Culbertson. Londyn, Faber and Faber, 1944. Str. 274 i 2 nl.

Ely Culbertson, bożyszcze bridżystów, jest synem amerykańskiego inżyniera, który położył wielkie zasługi dla rozwoju kaukaskiego przemysłu naftowego, i córki generała rosyjskiego. Jako młody chłopiec brał udział w rosyjskim ruchu rewolucyjnym, przez pewien czas siedział w więzieniu. W okresie pierwszej wojny światowej poświęcił się badaniom socjologicznym i politycznym, w szczególności zajmowało go zagrożenie siły w stosunkach ludzkich i międzynarodowych. Ponieważ majątek Culbertsona uległ konfiskacie po przewrocie sowieckim, po wyjeździe do Ameryki zaczął zarabiać na utrzymanie grą w bridża, którą oparł na systemie naukowym. Z czasem stał się twórcą systemu bridżowego (t. zw. *contract bridge*).

Świat kart zawsze fascynował Culbertsona. Widzi w nim świat, gdzie panuje ścisłe prawo polityki siły, gdzie nagrody i kary wymierzone są natychmiast i nieodwołalnie. Talia kart odpowiada hierarchii świata ludzkiego, — każda karta jest panem tej, która znajduje się na niższym stopniu, i służy tej, która znajduje się na stopniu wyższym. W świecie kart mamy także odpowiedniki „mas”, — długie kolory, które w końcu odnoszą zwycięstwo nad asami i królami.

Culbertsonowi zawsze bliższe były ideały Krapotkina, który przeciwstawiał się wszechwładzy państwa, i kwakrów, opierających przyszły ustrój na dobrowolnej współpracy zrzeszonych, niż Marx z jego wszechpożerającym mochem państwowym. Podobne stanowisko zajmuje Culbertson w dziedzinie stosunków międzynarodowych: przyszłość świata widzi w federacji, — chciałoby się powiedzieć „równych z równymi, wolnych z wolnymi”, a nie w *leadershipie* wielkich państw, w podziałach na „sfery wpływów”, we wskrzeszaniu nowego „świętego przymierza”.

W książce swojej *Total Peace*, która stanowi rozwinięcie zasad, wyłożonych uprzednio w *Summary of the World Federation Plan*, Culbertson atakuje bezlitośnie Waltera Lippmanna za propagowanie przez niego projekty oparcia przyszłej organizacji świata na sojuszu Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Rosji. „Nie ma bardziej niebezpiecznego złudzenia, — pisze Culbertson, — niż naiwne przypuszczenie, że trzy mocarstwa światowe... każde w posiadaniu potężnych sił zbrojnych, każde obawiające się i zazdrosne o inne, każde pod nieustannym wewnętrznym naciskiem presujących się uwarstwien, mogą długo pozostawać w błogiej zgodzie”. Jest rzeczą ludzką, że w tej powojennej „trójce” każdy — Roosevelt, Churchill i Stalin — będzie się czuł uprawniony do odgrywania roli konia dyszlowego (*trotter*), nikt nie będzie chciał być koniem przyczepnym (*side-kick*). Jest rzeczą matematycznie pewną, że d w a j z t r z e c h będą zawiedzeni. Jest także rzeczą matematycznie pewną, że przeważają szanse, iż ta powojenna trójka nie przetrwa jednego etapu”. W gruncie rzeczy Lippmann opiera się na „tej samej zgubnej ideologii państw zwierzchniczych (*protector states*), jak sojusz mocarstw osi. Jaka jest różnica między lippmannowskim podziałem narodów [a hitlerowską teorią rasy panów?]. Jeśli opieramy się na zasadzie, że grupa silnych państw może narzucić swoje panowanie światu, nie „tworząc wyższego prawa, któremu powinny podlegać w jednakowym stopniu wszystkie narody”, — analogia pomiędzy projektem Lippmanna a sojuszem państw osi narzuca się nieodwołalnie. „Jeśli przyjmujemy taką przesłankę, — wnioskuje z twardą logiką Culbertson, — Stany Zjednoczone walczą po niewłaściwej stronie”.

Cóż stanie się z Polską, z państwami nadbałkańskimi, z Bałkanami w wypadku urzeczywistnienia koncepcji Lippmanna? — pyta

Culbertson. Lippmann zaleca ich neutralizację. „Mówiąc po prostu, mają one wejść w „sferę wpływów” Rosji. Lippmann przyznaje, że nie jest to łatwe wyjście, ale „odwrotnie niż Szwajcaria lub państwa skandynawskie, nie są one ideologicznie ani praktycznie wdrożone do prawdziwej neutralności”. Innymi słowy, narody wschodnio-europejskie nie są ani duże, ani godne szacunku. Pan Lippmann dodaje, że jest to „jedyna forma bezpieczeństwa, jaką możemy tu zaofiarować”. Główną rzeczą jest zachowanie za wszelką cenę podstawowego (*nucleus*) sojuszu Wielkiej Trójki”, — dodaje złośliwie Culbertson.

Culbertson występuje, rzecz prosta, przeciw podziałowi Europy na dwie sfery wpływów: brytyjską i rosyjską, przeciwko przeobrażeniu Europy „w gigantyczną Persję czy Polskę, z Wielką Brytanią, sprawującą władzę (*controlling*) nad jej zachodnią, i Rosją nad jej wschodnią częścią”. Zadaniem Stanów Zjednoczonych jest niedopuszczenie do ekspansji Wielkiej Brytanii czy Rosji poza ich granice, przeciwnie, Stany winny dążyć wszelkimi siłami do przywrócenia uwolnionym państwom europejskim ich pełnej suwerenności.

W przeciwieństwie do Lippmanna, Culbertson pragnie stworzyć taką organizację światową, w której zachowana byłaby równość wszystkich państw, zabezpieczone interesy państw większych, zagwarantowane prawa państw małych. Do państw przewodniczących (*leading or initiating states*) zalicza Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię, Francję, Niemcy, Polskę, Turcję, Rosję, Chiny i Japonię. Każde z nich musi stanąć na czele federacji regionalnej, więc Stany Zjednoczone na czele federacji panamerykańskiej (Stany Zjednoczone i wszystkie państwa Ameryki Południowej), Wielka Brytania—brytyjskiej (Zjednoczone Królestwo, Kanada, Australia, Nowa Zelandia i Afryka Południowa), Francja—jacińskiej (Francja, Włochy, Hiszpania, Belgia i Portugalia), Niemcy—niemieckiej (Niemcy i Austria), Polska — środkowo-europejskiej (Polska, Litwa (po plebiscycie), Czechosłowacja, Rumunia, Węgry, Jugosławia, Bułgaria, Albania i Grecja), Turcja—blisko-wschodniej (Turcja, Persja, Irak, Syria, Palestyna, Arabia, Afganistan i Egipt), Rosja—rosyjskiej Związek Sowiecki, Estonia i Łotwa (jako państwa autonomiczne), Besarabia i części „polskiej Ukrainy” (po plebiscycie), Chiny—chińskiej i Japonia—japońskiej. Federacja malajska i indyjska będą miały na razie zastrzeżoną autonomię. Pozostałe państwa nie wejdą do żadnego bloku.

Federacja rozporządzać będzie dwoma rodzajami sił zbrojnych: armiami narodowymi, które będą przysługiwały tylko państwom produkującym, oraz korpusem międzynarodowym, w którym będą reprezentowane tylko państwa mniejsze. Podział procentowy sił zbrojnych będzie wyglądał, jak następuje: Stany Zjednoczone — 20%, Wielka Brytania i Rosja — po 15%, Chiny i Francja — po 6%, Niemcy, Polska, Turcja i Indie — po 3%, Malaje i Japonia — po 2%, korpus międzynarodowy — 22%.

W ten sposób siły zbrojne Polski liczyłyby 60.000 żołnierzy, 1.500 samolotów, 3.000 czołgów, 3 pancerniki lub lotniskowce.

Tymczasem rząd federacji światowej powinien uznać za rządy prawowite wszystkie rządy, przebywające na wygnaniu, i wszystkie niefaszystowskie rządy, jakie powstały lub powstaną w pokonanych państwach osi.

Culbertson jest zdania, że w interesie Rosji nie będzie leżało komunizowanie Europy, musiałoby to bowiem wywołać wojnę z potężną koalicją pod wodzą Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. W sprawie żądań terytorialnych Rosji Culbertson stoi na stanowisku, iż chociaż Estończycy i Łotysze są narodami dzielnymi, które dowiodły, że zasługują na niepodległość, względy strategiczne powodują, że nie ma siły ludzkiej, która mog-

łaby oderwać je od Rosji. Inaczej rzecz wygląda z Litwą. Litwa nie jest potrzebna Rosji do obrony Leningradu, gospodarczo należy bardziej do Europy środkowej niż do Rosji, a historycznie mocno jest związana z Polską. Suwerenna Litwa, połączona unią celną z Polską, mogłaby rozwiązać zagadnienie dostępu do morza dla Polski, Czechosłowacji i innych państw europejskich. Natomiast względy etnograficzne i strategiczne przemawiają za oddaniem Rosji części Polski z przeważającą ludnością białoruską i ukraińską. Culbertson w ostrych słowach potępia politykę Polski wobec Ukraińców, twierdząc, że w czasach nowożytnych żaden naród nie był „okrutniej

Dwa epizody Kościuszkowskie

Victorian Diarist. Extracts from the Journal of Mary, Lady Monkswell 1873—1895. Edited by the Hon. E. C. F. Collier. Londyn, John Murray, 1944. Str. XXV i 1 nl. i 284 i tabl. 4.

Pradziadek autorki dziennika z czasów wiktoriańskich, Joseph Hardcastle, zetknął się w r. 1814, w czasie swego pobytu we Francji, z przedstawicielem londyńskiego Towarzystwa Misyjnego na Paryż, Mr. Stone. Ten opowiedział mu następującą historię o Kościuszcze, który, jak wiadomo, przebywał pod Paryżem w czasie marszu sprzymierzonych na stolicę Francji.

Kiedy pewien oddział, zgodnie z panującymi wówczas zwyczajami, zabrał się do rabunku pobliskiej wsi, Kościuszek, widocznie rozpoznawszy język, jakim mówiono, wezwał grabieżców do „wstrzymania się od postępków, niegodnego żołnierzy i Polaków”. Żołnierze, zdziwieni, że człowiek o wyglądzie francuskiego farmera przemawia po polsku, i to w duchu tradycji wojskowej ich kraju, spytali go o nazwisko. Kościuszek odmówił odpowiedzi, grożąc, że w razie niezaprzestania rabunku zwróci się ze skargą do dowództwa naczelnego. „Jego ton, zachowanie się i śmiałość wzbudziły nie tylko zdziwienie żołnierzy, wzbudziły także szacunek, i zapytanie o nazwisko, początkowo zadane w sposób obrażający, teraz powtórzone z powagą i cziłą”. Tym razem usłyszeli odpowiedź: „Jestem waszym rodakiem; walczyłem i krwawiłem z wami; dowodziłem takimi a takimi pułkami, — jestem Kościuszek!” Na dźwięk tego słowa, tyle ukochanego, widząc przed sobą bohatera, co więcej, bożyszcze kraju, — żołnierze padli na ziemię i unurzali głowy w błocie i śniegu na dowód, że niegodni są widoku tak znakomitego (*illustrious*) wodza”.

Na prośbę swego przyjaciela i nauczyciela, de la Harpe’a, Aleksander I nakazał zaćnićte warty honorowej przed domem Kościuszki; była to „oznaka czci dla nieprzekupnego patrioty”.

Mr. Stone opowiadał również, że na początku kampanii rosyjskiej ukazało się wezwanie do Polaków, podpisane nazwiskiem Kościuszki. Było ono sfałszowane; Kościuszek zawsze odnosił się krytycznie do poczynąń Napoleona i „niezmiennie odrzucał najbardziej kuszące propozycje wstąpienia do niego na służbę”. W danym wypadku był bezsilny, gdyż, rzecz prosta, żadne z pism nie ośmieliłoby się ogłosić zaprzeczenia.

Opisana przez Mr. Stone rozmowa Kościuszki z żołnierzami znana jest od dawna i stała się nawet tematem licznych utworów literackich, że wymienimy tylko operę Dutkie-

O Polakach na froncie i w eskorcie

Alan Moorehead. African Trilogy comprising Mediterranean Front, A year Battle, The End in Africa, a personal account of the three year's struggle against the Axis in the Middle East and North African, 1940—43. With a Foreword by Field-Marshal Viscount Wavell, C.C.B., G.M.G., M.C. Londyn, Hamish Hamilton, 1944. Str. 592.

Znakomity korespondent wojenny *Daily Express*’u, Allan Moorehead, opowiada w swojej *Trylogii afrykańskiej*, obejmującej trzy poprzednio wydane tomy wrażeń z Bliskiego Wschodu i z Afryki Północnej, o dwóch spotkaniach z Polakami.

Moorehead widział Polaków na linii Gazyli w grudniu 1941 r. Sześciu z wydestania się z Tobruku, atakowali z rozmachem czerwonoskórych, a ich szef sztabu, w chwili rozwiązania się tyralieri pod ogniem nieprzyjacielskim, powiedział całkiem serio: „Jest to fajna odmiana (*nice change*) dla chłopców. Naprawdę fajna odmiana”. „Szli do bitwy, jakby byli korsarzami na pokładzie piętnastowiecznego galionu”. Autor obserwował przez lornetę pewien odcinek, który gęsto ostrzeliwała artyleria nieprzyjacielska. Przez pewien czas był on spowity w tak gęsty dym, iż wydawało się, że przestał po prostu istnieć. Ale kiedy dym się rozszedł, można było zobaczyć, że Polacy idą naprzód. Ostatnie kilkanaście jardów pokryli z bagnetem w rękę.

Potem, na jesieni 1942 r., Moorehead obserwował żołnierzy polskich z Rosji, którzy eskortowali jeńców niemieckich na statku „Zola”, z Durbanu do Kanady. „Co noc Polacy ustawiali się rzędem na pokładzie i, odwróciwszy twarzami ku zachodowi, śpiewali swój stary hymn narodowy. Był w tym lament, który mógł wzruszyć każde serce gdziekolwiek na ziemi. Ale tutaj, na bezbrzeżu oceanu, hymn ten, śpiewany jedynie pod akompaniament fali, rozbijających się o okręt, przez tych bezdomnych ludzi, — niektórzy

(*more cruelly*)“ prześladowany, niż Ukraińcy. Nadto jest rzeczą jasną, — dodaje Culbertson, — że Ukraińcy polscy będą dążyli do zjednoczenia z Ukraińcami sowieckimi.

Z dziejów Polski czerpie Culbertson niejednokrotnie przykłady dla poparcia swoich wywodów. Wspomina unię polsko-litewską z r. 1385, zestawia system głosowania w Lidze Narodów z *liberum veto*, przewiduje możliwość podziału Stanów Zjednoczonych pomiędzy Zjednoczoną Europę, całkowicie uprzemysłowaną Rosję i częściowo uprzemysłowany świat mongolski, — na podobieństwo podziału Polski pomiędzy Rosję, Prusy i Austrię.

wicza „Kościuszek nad Sekwaną”, operetkę Holteia. *Kościuszek, der alte Feldherr*, wiersz Legarde’a *Les obsèques de Kościuszek* (przełożony na niemiecki przez Franza Kellera p. t. *Kościuszek’s Todtenfeier*), ustęp poematu Lenartowicza „Kościuszek w Szwajcarii” i t.d. Tyle jedynie, że w niektórych wersjach bohaterami zdarzenia nie są żołnierze polscy, ale rosyjscy, po prostu oddział dońskich kozaków.

Nazwisko Kościuszki podpisał Fouché nie pod proklamacją, wydaną na początku kampanii r. 1812, ale na początku kampanii r. 1806. Prowadził wtedy rokowania z Kościuszką w imieniu Napoleona, ale Kościuszek zażądał gwarancji i postawił warunki, pod jakimi gotów jest stanąć u boku cesarza. Chciał odbudowy Polski w granicach przedrozbiorowych, uwolnienia i uwłaszczenia chłopów, ustroju na wzór angielski. Napoleon miał na to odpowiedzieć: „A jakież by mi podał warunki, gdyby był mocarzem?”.

Falszerstwo przyszło Fouché’mu tym łatwiej, że już Wybicki i Dąbrowski lekko-myślnie nadużyli nazwiska Kościuszki w słynnej odezwie berlińskiej z dn. 3 listopada 1806 r., zaaprobowanej przez Napoleona: „Wkrótce Kościuszek, wezwany przez wielkiego Napoleona, przemówi do was z jego woli” (po polsku tekst żągodzono, po francusku brzmiał: „...vous parlera par ses ordres”. Rzekoma odezwa Kościuszki pojawiła się w paryskim *Publicité* z dn. 18 grudnia 1806 r. Falszerstwo potępił zresztą sam Napoleon w liście z dn. 18 grudnia t. r. z Puktuska: „Na co nam potrzebny Kościuszek, skoro chce zostać w spokoju? Narod polski nie jest narodem, który się porusza proklamacjami”. Kościuszek zaprotestował przeciwko fałszerstwu w piśmie do Fouché’go z dn. 22 grudnia t. r.

Później, w liście z Liebstadt z dn. 20 lutego 1807 r., Napoleon nazwał Kościuszkę „głupcem” (*sot*). Z tego powodu pisze Korzon: „Tak spotkał się w zdaniu Napoleona Wielki z Katarzyną Wielką: spotkał się też na machiawelskich drogach działania i do identycznych doprowadził Polskę wypadków, albowiem był sprawcą czwartego i piątego, a powodem szóstego jej rozbioru; ofiar zaś w krwi i mieniu pobrał chyba więcej, niż wynosiły spustoszenia wojsk jego poprzedniczek. Udarował zato Polaków kilku latami przyjemnych złudzeń i kilku atestacjami waleczności, ba, nawet wspomnieniem ich imienia w kilku odezwach obok swoich Francuzów”. „Biała narodowi, które dają się ludzi!” — dodaje Korzon. — Doświadczyli tego Polacy, gdy za wszystkie wysiłki swoje i za laury wojenne nie zdobyli ani jednego zakątką do samoistnego życia”.

byli chłopcami zaledwie, — miał w sobie nostalgia i patos, który wywoływał zakłopotanie i przerażenie. Każdy z tych ludzi stracił przed laty rodzinę w Polsce, teraz, ubrani w obce mundury, znaleźli się na obcym okręcie, od domów rodzinnych dzielili ich nie tylko Niemcy, dzielili nadto tysiące mil mórz i lądów, a sprawa polska wyglądała beznadziejnie niż kiedykolwiek”.

Polacy tworzyli na pokładzie oddzielną grupę: nie mówili po angielsku, więc kontakt z nimi był trudny. Kiedy autor po raz pierwszy usłyszał hymn polski, zrozumiał, jaka niezłomność łączyła tych ludzi. Łączyła ich poza tym „religijna chęć zabijania Niemców. Widziałem Polaków, zabijających Niemców; robili to z tym samym pozabawionym namietnościami spokojem, z jakim chirurg wycina wrzód. Dział tu coś, co jest poza obrębem nienawiści czy zemsty. Jest to beznadziejna reakcja fizyczna, coś, co sprawia, że Niemcy w Polsce zachowują się brutalnie niż gdzie indziej. W końcu jest to, być może, prymitywny instynkt samozachowawczy”.

Polacy wzorowo pełnili swoje obowiązki. Kiedy byli na służbie, nie folgowali sobie ani na chwilę. Stosunek ich do jeńców niemieckich był poprawny, ale twardy: wszelkie próby rozluźnienia dyscypliny likwidowano z całą energią.

Kiedy „Zola” przybył do Halifaxu, zażędził mały incydent. Na podstawie konwencji haskiej, oficer, będący w niewoli, nie musi sam nosić swego bagażu, ale tak się złożyło, że szeregowcy niemieccy opuścili okręt przed oficerami niemieckimi. „Z brakiem taktu, przechodzącym wszelkie wyobrażenia, — pisze Moorehead, — pewien oficer brytyjski kazał Polakom przenieść bagaż. Równie dobrze mógł się zwrócić do robotników z konwoju. Polacy wręcz odmówili”.

Incydent szybko zażegnano i bagaż oficerów niemieckich przenieśli żołnierze brytyjscy.

OPINIE ANGIELSKIE

Mówcy z Hyde Parku

Jeślibym miał odpowiedzieć na pytanie, jaka jest najbardziej charakterystyczna rzecz, którą zauważyłem w Anglii, odpowiedziałbym bez wahania: mówcy uliczni.

Najsłynniejszym, legendarnym już stoiskiem mówców jest Hyde Park, a raczej ten jego róg, który przytęka do Oxford Street i nazywa się Marble Arch. Jednak polskie określenie „mówca z Hyde Parku” można zastosować także do mówców z Tower Hill koło London Bridge, i z niemal wszystkich parków czy placów londyńskich. Przed wojną co wieczór po pracy zbierali się ludzie w najrozmaitszych punktach miasta, — ale głównie w Hyde Parku. Urzędnicy, robotnicy, panienki sklepowe, panowie w melonikach, starsze panie z pieskami, zakochane pary. Ludzie wszelkiego wieku, stanów i zawodów. Mówcy, wynajęci przez jakąś partię, sektę religijną czy związek, stawali na drewnianych mównicach, które przyniosili ze sobą. Inni przygodni kandydaci albo dysputanci wynajmowali za dwa pensy krzesła, na których stawali, albo nawet bez takiego zaimprovizowanego podniesienia rozpoczęli dyskusję czy przemowę. Po chwili otacza ich gęsta ludźmi. Przechodniów takich, którzy czekają na otwarcie *pubu*, takich, którzy przyszli tu specjalnie, aby posłuchać dyskusji. Grupa większa lub mniejsza, zależnie od tego, czy mówca potrafił zainteresować słuchaczy. Ale zdarza się także, że nikt nie słucha, a mówca mówi „sobie a muzom” i starym, wyrozumiałym drzewom Hyde Parku.

Obecne zimowe i wojenne wieczory, chłodne i zaciemnione, nie bardzo nadają się na takie imprezy. Nadto zawodowi mówcy są obecnie w wojsku, po fabrykach broni, w służbach pomocniczych: policji, straży ogniowej i t. p. Więc jak wszystko, tak i dyskusje w Hyde Parku zostały „zracjonowane”. Przesunęły się na sobotę popołudniu i na niedzielę.

Skrzyty, zamknięty w sobie, skromny w słowach i gestach, cichy i dyskretny w zachowaniu Anglik musi się gdzieś wyżyć. W domu milczy lub czyta przy kominku. W towarzystwie znajomych jest powściągliwy i opanowany. Rozgaduje więc swój temperament w dyskusjach z nieznajomymi. Anglik nie mówi po to, aby mówić albo się popisać. Milczenie nie jest uważane jako objaw nieinteligencji czy zapeszenia. Mówi się, jeśli się ma coś do powiedzenia, ale wtedy mówi się odważnie, bez obłonek, bez niedopowiedzeń, bez wyrachowania. Jeśli ktoś czuje, że ma naprawdę coś do powiedzenia, nie będzie się wstydził wyjść na mównicę i mówić do tłumu albo do... nikogo. I na odwrót, żaden mówca nie spotka się z prześmiewaniem i drwinami osobistymi. Sepieniącego nie będzie się przedrzeźniać, nawnemu nie wytknie się naiwności. Będzie się z nimi dyskutować na rozum albo pójdzie się dalej.

Opowiadano mi historię, która *se non e vero e bon trovato*. Jakis anarchista wymyślał w Hyde Parku na króla. Był osobisty, napastliwy i niegentlemański. Słuchało go wielu, bo mówił dobrze, dowcipnie i z temperamentem. Chudy, kościasty policjant stał obok i patrzył poważnie przed siebie. Jakis cudzoziemiec, *blagonadziejny* i „państwo-wotwórzyć”, podszedł do policjanta i domagał się interwencji.

„Ten oto facet obraża twojego króla”, — powiedział.

„Króla nie można obrazić”, — brzmiała spokojna, flegmatyczna odpowiedź.

Oto sekret tolerancji i rozumu politycznego. „Króla nie można obrazić”. Słowo ma swoje granice, których przekroczyć nie potrafi. Nie potrafi osiągnąć majestetu królewskiego, nie potrafi przelamać prawdy, moralności, wiary. Dlatego wolno wszystko mówić, z wszystkiego kpić i na wszystko wymyślać. Jeśli prawda, moralność czy wiara nie wytrzymują próby słowa, to nie są ani prawdą, ani moralnością, ani wiarą. I majestat królewski nie byłby majestatem, gdyby się bał słowa.

Porównanie samo ciśnie się pod pióro. Procesy o obrazę narodu, rozprawy o obrazę munduru, byłyby w Anglii nie do pomyślenia. Narodu, ani ducha, którego symbolem jest mundur, nie można obrazić.

Wielu mówców mówi o polityce. Spotkać tu można konserwatystów (Sir Herbert Williams, poseł konserwatywny z Croydon i prezes partii konserwatywnej okręgu londyńskiego, rozpoczął swą karierę polityczną jako mówca uliczny swej partii (liberałów i socjalistów), G. B. Shaw przez długie lata był mówcą ulicznym *Fabian Society*). Komuniści (a przed wojną także mosleyowcy) głośno wykrzykują swe slogany. Zwolennicy planu Beveridge'a, obrońcy Indii, Irlandczycy, atakujący Anglię, ludzie wszelkich partii, frakcji, poglądów mogą zabierać głos.

Ale polityka nie jest głównym tematem. Równie wielu mówców mówi o religii. Sprawy zbyt ważne dla Polaków, więc omijam apostołów sektarskich, ilekroć idę posłuchać dyskusji. Ale nie sposób nie przystanąć bodaj na chwilę. Stary ksiądz dyskutuje z trampem. Prawdziwym trampem, jakiego dotychczas widywałem tylko w kinie. Obszargane ubranie, brudna, rozwichrzona, ruda broda, kapelusz bez koloru, z naddartym rondkiem, a przez plecy przewieszony worek. Tak jest, worek.

„Jeśli Bóg jest wszędzie, jak ty to twierdzisz, — wola tramp głosem, pełnym emocji, — to powiedz mi, gdzie go nie ma?” Nie rozumiem tej sofistyki, ale powtarzam wiernie, co słyszałem. Jednak ksiądz go widać rozumie, bo z całą powagą i z tryumfem, że znalazł właściwą replikę, odpowiada: „W twojej duszy. W twojej duszy nie ma Boga”.

Stara, wysuszona, bezzębna kobieta także mówi o Bogu.

„Najlepszym dowodem, że Bóg jest, jest to, że od trzech lat tutaj przemawiam i nikt mnie dotychczas nie przegadał”.

Parę kroków dalej mówca Armii Zbawienia, skończywszy swą dzienną porcję gadania, intonuje hymn, a parę dziewcząt, trzech żołnierzy amerykańskich i dwóch angielskich śpiewa z nim na cały głos. Anglicy lubią śpiewać chórem. Przypomina mi to przez czysto zewnętrzną analogię owego młodego mówcę, który w marcu 1939 r. jak prorok na puszczę... choć nie, raczej jak Churchill donośnie, ale bez echa demaskował *wishful thinking* i *appeasement*. Wolał wówczas ów młody człowiek w Hyde Parku koło Marble Arch: „Jedyna armia, jaką mam, to Armia Zbawienia”.

To prawda, że znałem wówczas Anglię tylko bardzo krótko. Może dlatego to zdanie tak mi się podobało, że do dziś dnia utkwiło mi w pamięci. Dzisiaj wiem, że Anglia nie była tak bezbronna,

jak się owemu wymownemu młodzieńcowi wydawało. Naród, który nie boi się słuchać prawdy, wytrzyma i przetrwa wiele.

Spór anglo-amerykański

Mamy już konflikt anglo-grecki i polskorosyjski, stosunki amerykańsko-sowieckie (nieoficjalne i oficjalne) nie kształtują się zbyt składnie, stosunki anglo-sowieckie prócz obustronnych komplementów są wciąż jeszcze żadne, a obecnie, na domiar wszystkiego, angielska i amerykańska opinia publiczna chwyciły się za włosy.

Zaczęło się od artykułu w *Economist*'cie z dn. 31 grudnia 1944 r. Choć nie...! Zaczęło to się właściwie znacznie wcześniej w Ameryce, a artykuł Crowthera, — redaktora *Economista*, któremu *vox populi* przypisuje autorstwo wspomnianego artykułu, — był tylko angielskim uderzeniem pięścią w stół. Zaczynijmy więc od początku.

Gdy wybuchła wojna i gdy po upadku Francji Anglia znalazła się sama, Amerykanie „po bratersku” pośpieszyli Anglii z pomocą, pozwalając Anglikom — za gotówkę i własnymi okrętami (*cash and carry*) — sprowadzać z Ameryki broń i inne towary, konieczne do prowadzenia wojny. Anglicy skwitowali tę niezbyt wydatną pomoc uśmiechem i zaczęli umizgać się do Ameryki jak ubogi krewny do bogatej ciotki. Te umizgi nie zakończyły się nawet po Pearl Harbour, gdy Ameryka na własnej skórze przekonała się o „niepodzielności pokoju”. Anglicy ustępowali Ameryce laury dowództwa i pierwszeństwo w radzie i bez mrugnienia powiek przyjmowali krytykę, a nawet obelgi, których nie szczędziła im bardzo pobudliwa prasa amerykańska z Hearstem na czele.

Przyznam się, że imponowała mi ta dojrzałość polityczna Anglików, którzy umieli obejść się bez blichtru zaszczytów i którzy chętnie, dla jakiegś dalekowzrocznej korzyści, zrezygnowali z orderów, zaszczytów i pierwszeństwa. Ale tak długo dżban wodę nosi, póki się ucho nie urwie! Choć kto ich tam wie! Może po prostu wyczucie polityczne powiedziało im, że teraz można; że teraz Ameryka głębiej siedzi w błocie niż Anglia; że dalsze ustępowanie może zagrozić przyszłemu układowi sił lub... *businessu*. Naprzód pokiełbało się coś w Dumbarton Oaks, choć winę zwołano na Sowietów. Potem narady nad przyszłością lotnictwa cywilnego zagrzywały konfliktem interesów. A przez cały czas eksporтеры i kombajny obu krajów grały o pozycje na obu półkulach.

Anglicy, — choć kochają się w pozorach, — nie są święci, więc wybaczyliby wiele grzechów Amerykanom. Jednego nie umieli wybaczyć. Tego tonu mentorsko karcącego, jakim pewien odłam prasy amerykańskiej pisywał o angielskim wysiłku wojennym. Przyznam się, że i mnie, Polaka, — raziło, gdy czytałem zarzuty typu: „Anglicy biją się do ostatniego żołnierza amerykańskiego” i gdy równocześnie obserwowałem brytyjski wysiłek wojenny, totalny i nie oszczędzający własnych sił, a wszystko przy akompaniamentie bomb latających i rakietowych.

Economist w ostatnim numerze ubiegłego roku rozpoczął kontratak. Na swej pierwszej stronie ogłosił artykuł p.t. *Noble Negatives*, w którym odpowiadał bez ogródek i stanowczo na zarzuty prasy amerykańskiej. „Krytyczymy amerykańskie są przykre nie tylko dlatego, że są niesłuszne, ale także dlatego, że pochodzą od kogoś, kto tak mało zasłużył sobie na prawo przybierania tonu wyższości. Jeśli się mówi, że Brytyjczycy opuszczają się w wysiłku wojennym, to jest to bolesna krzywdą dla narodu, który przebieja się już przez swą szóstą zimę zaciemnienia, blokady, bomb, ogonków, racjonowania, towarów i zimna. Ale jeśli taka krytyka przychodzi od narodu, który przestrzegając podczas *Battle of Britain* zasady *cash and carry*, którego spożywcze wzrosło podczas wojny, który wciąż jeszcze nie ma przymusowej służby pracy, — to tego nie można znieść”. Pismo zastanawia się, czy warto nadal zabiegać o względy Ameryki, i dochodzi do przekonania, że nie! Anglia nie uzyska od Ameryki ani przysięgi, ani gwarancji terytorialnych, ani nawet zobowiązań wspólnej akcji przeciw możliwym przyszłym napastnikom. Jest to równie nieprawdopodobne, jak „petycja amerykańska o przyjęcia Stanów z powrotem do Imperium Brytyjskiego”. Należy zakończyć, — zdaniem pisma, — z polityką *appeasement* wobec Ameryki. Ryzyko nieprzyjaźni amerykańskiej jest znacznie mniejsze, niż ryzyko osamotnienia, w jakim Anglia musi się znaleźć, jeśli nie przygotuje sobie innych środków obrony czy innych sprzymierzeńców. „Jeśli mamy sprzedawać brytyjską politykę i nasze bezpieczeństwo za obietnice amerykańskie, to jedyne odciążenie dla nas bezpieczne warunki są: gotówka przy dostawie”.

Londyński *Dziennik Polski* jest bardziej optymistyczny niż *Economist* w ocenie sporu anglo-amerykańskiego. „Kłótnie w rodzinie bardziej niż inne mogą doprowadzić do wyjaśnienia nieporozumień i do lepszej zgody”. I naturalnie: „Opinia amerykańska, przy całym swym zrozumieniu, że izolacjonizm nie chroni od wojen, nie zgodzi się jednak na to, by siła Ameryki została użyta na rzecz rozwiązań, sprzecznych z ideałami, w które wierzy”.

To ostatnie zdanie ma chyba oznaczać, że Ameryka oprze się siłą takim rozwiązaniom, któreby gwałciły ideały, w które Ameryka wierzy. Bądźmy równie „brutalnie szczerzy” jak *Economist*. Interwencja siły amerykańskiej o słuszne prawa Polski jest równie nieprawdopodobna, jak marzenia, aby Polska została przyjęta jako szóste Dominium do korony brytyjskiej.

H. S. Dominik

RECITAL FORTEPIANOWY

MARII BAR

odbędzie się 13 lutego br., o godz. 8.30
w Tel-Avivie, w sali Ohelu.

W programie:

Schumann, Brahms, Szopen, Debussy,
Ravel, Liszt.

Bilety do nabycia w księgarni Saphira.

KRONIKA FILMOWA

Młody porucznik i stary generał

W przedłużających się latach wojny publicz-ly *fin-de-siècle'u* i żartobliwej satyry na czasy pruskie.

Właściwa akcja rozpoczyna się wkrótce po wojnie boerskiej. Niemcy oskarżają Anglię o okrucieństwa wobec Boerów, młody oficer angielski, Candy, jedzie samowolnie do Berlina, by publicznie przeciw temu zaprotestować. Ta indywidualna interwencja dyplomatyczna kończy się pojedynkiem z przedstawicielem obrażonej armii niemieckiej. Wynik pojedynku między dwoma nieznany sobie ludźmi jest względnie niekwa- wy i przeciwnicy, spełniwszy swe obowiązki reprezentacyjne, zaprzyjaźniają się serdecznie. Kretschmar, oficer niemiecki, żeni się ze znajomą Candy'ego, Angielką, i choć pozostaje w Niemczech, jednak w znacznym stopniu wchodzi w świat angielskiej kultury.

Rok 1914. Wojna. Kretschmar dostaje się do niewoli. Gdy próbuje go w niej odwiedzić angielski przyjaciel, Niemiec nie poznaje dawnego kolegi. Przy opuszczaniu Anglii pożalował jednak aroganckiego gościa i odwiedził Candy'ego. Tam, na wieczornym przyjęciu, jest świadkiem rozmowy o projektach odbudowy Niemiec, — Anglia nie zamierza się mścić, przeciwnie, postara się przywrócić Niemcom ich stanowisko w Europie. Europa bez Niemiec, którym cesarzował — bądź co bądź — siostrzeniec Edwarda VII i prawie wnuk Wiktorii, nie jest Europą.

W r. 1934 Kretschmar przyjeżdża do Anglii jako uchodźca z hitlerowskich Niemiec. Jest *homesick*, — tęskni za „domem”, choć oczyj- ną jego są Niemcy. Dzieci zabrała mu partia hitlerowska, żona umarła, przejechał tam, gdzie jest jeszcze wolność i gdzie spotyka się gentlemanów. „Przyjechał ostrzec, że jeżeli Anglicy nie będą przygotować na brutalną napaść i nie zechcą równie brutalnie się bronić, hitleryzm obali ich świat pięknych zasad. Filipika Kretschmara dostarcza uzasadnienia postępowaniu młodego porucznika na ćwiczeniach. Sylogizm się zamyka.

Lecz tu powstają wątpliwości, czy bezwzględna walka młodych z Niemcami nie zaszczyli im samym brutalności i okrucieństwa? Czy można pozostać czystym, dotykając błota?

W końcowej scenie żołnierze angielscy maszerują jedną ze zbombardowanych ulic. Słyszymy ich krok, — nie widzimy twarzy. Jest to symboliczny marsz wojska, młodego wojska. Na takt żołnierskich kroków ożywia się stary generał; choć przez nich złośliwie nabrany na fundusz, skompromitowany i odstawiony do lamusa, salując z uśmiechem: dzielni chłopcy idą walczyć o jego kraj, kraj, w którym według obyczajów gentlemana wojna powinna „zaczynać się o północy...” „A i „dobry Niemiec”, Kretschmar, dodaje komentarz: musi mieć kraj starych idealistycznych generałów, by młodzi mieli o co walczyć. I jeżeli przejściowo na wojnie generał z *fin-de-siècle'u* idzie jakby do lamusa, pozostaje potrzebny na dzień pokoju, jako symbol i żywy przykład starej Anglii.

Tendencja filmu i jego intencje propagandowe są jasne: ukazać cnoty narodowego charakteru Anglików i przeciwstawić je hitlerowskiemu bestialstwu. Z kolei — zaszczyścić przekonanie, że dziękując zwierza należy tępić wszelkimi sposobami, przy czym postać „dobrego Niemca”, Kretschmara, przypomina, że wojna nie toczy się z całym narodem niemieckim, lecz wyłącznie z bandytami hitlerowskimi.

Zajmijmy się na chwilę „dobrym Niemcem”. Przypisanie mu roli symbolicznej jest dość nieoczekiwane i niebezpieczne: plk. Kretschmar jest po pierwsze „von”, a po drugie przedstawicielem klasy junkrów i pruskiego militarysty. Konfrontacja wojny 1914—1918 z obecną, z wnioskami, przynajmniej rycerskość i przestrzeganie obyczajów gentlemana pierwszej, również wygląda dość dziwnie na tle ówczesnego zachowania się Niemców w Belgii; czyżby już zapomniano o tragicznej postaci siostry Edith Cavell? Wreszcie rozgraniczanie wojen na mniej i bardziej sympatyczne kategorie wygląda na przykrą groteskę, gdy z jednej strony — wciąż są aktualne idee pacyfizmu, z drugiej zaś agresja niemiecka doprowadza świat do straszliwego wyniszczenia. Sam fakt napadu na cudzą własność, na cudzą ziemię, jest już chyba wystarczającą godną potępienia i przeciwdziałania. W polityce nie ma okoliczności łagodzących, jak w procesie o zabójstwo w stanie afektu.

U spodu angielskiej sympatii do tamtych czasów leży pamięć o dobrobycie materialnym, o spokojnym życiu w pomyślnych warunkach gospodarczych. Ale te właśnie warunki, działające na korzyść Anglii, wytwarzały niemieckie bezrobocie, — pożywkę, na której wyhodował się hitleryzm. I von Kretschmar, gentlemaniści, eleganci, kulturalny oficer pruskiej armii, jest właściwie jednym z tych, którzy swą sytuacją społeczną i poglądami politycznymi wpływali na istnienie bezrobocia. Gentlemanem bywa człowiek syty, rzadko — głodny.

I poza ideologicznymi celami wojny istnieją jeszcze inne, jak np. utrzymanie pewnego podziału dóbr w świecie. Apoteoza angielskiego charakteru w „Pulkowniku Blimpie” przeprowadzona jest taktycznie, dowodzenie ideologicznej natury obecnej wojny — podane zręcznie, ale u widza polskiego może to dziś wzbudzić niechęć, aktualne skojarzenia i sarkastyczny uśmiešek.

Jan Martyka

W najbliższych numerach „W Drodze” ukażą się m. in. następujące artykuły:

WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO : BANIA Z POEZJĄ. III
MARIIBRZESKIEJ: PRAWDZIWY KURIER
WŁADYSŁAWA CHOMY: NIEPOPRAWNI
PORUCZNIKA HERBERTA: FLYING CONTROL
ALEKSANDRA JANTY: BYŁO TAK!
BIERZEMY JEŃCÓW
BOHDANA ŁĄCZKOWSKIEGO: LISTY Z WŁOCH. II
KSAWERA PRUSZYŃSKIEGO: WSPOMNIENIA NORMANDZKIE. III
TADEUSZA SOWICKIEGO: DZIENNIK POKŁADOWY (wiersze)

PRZEGLĄD POLITYCZNY Z prasy obcej

Włochom grozi rewolucja

Ofensywa sowiecka poprzez Polskę na wschodnie Niemcy przysłoniła sobą wszystkie inne wydarzenia i wojenne, i polityczne ostatnich dwóch tygodni. Przysłoniła nie tylko dlatego, że przebieg jej był wyjątkowo dramatyczny. Nie ma wątpliwości, iż jest ona jednym ze zwrotnych punktów obecnej wojny.

Przebiega ona inaczej niż wszystkie poprzednie ofensywy sowieckie. Dotychczas Niemcy wobec ofensyw sowieckich stosowali inną taktykę: starali się bronić terenu za wszelką cenę. Cena jednak okazywała się bardzo wysoka. Okazało się bowiem, iż nie nie potrafi zatrzymać pierwszego impetu przeciwnika, który operuje bardzo skoncentrowanym ogniem artyleryjskim i może rzucić do walki wielkie ilości czołgów, zwłaszcza jeśli przeciwnik ten atakuje na froncie bardzo długim i jeśli ma przewagę liczebną. Niemcy trzymali się swej dawnej taktyki jeszcze w czasie jesiennej ofensywy na Węgrzech. Dzięki niej udało im się doraźnie ochronić Wiedeń przed bezpośrednim niebezpieczeństwem wtargnięcia wojsk sowieckich, ale zato ilość jeńców, jaką Rosjanie wzięli w jednym tylko Budapeszcie, jest niewiele mniejsza od tych kontyngentów jeńców, jakie wpadły ostatnio Rosjanom w ręce w Polsce i w Prusach Wschodnich. Obecnie zaś, — zwłaszcza po utracie w walkach o Francję około miliona żołnierzy i przy konieczności obsadzania trzech frontów, — Niemcy muszą gospodarować swoim materiałem ludzkim bardzo oszczędnie. Dziś, kiedy rezerwy niemieckie są już zupełnie wydrewnowane, poświęcenie większej ilości dywizji, to najpewniejsza i najprostszą drogą do ich zupełnej klęski i załamania się frontów. Dlatego postanowili nie przyjmować zasadniczej bitwy na linii Wisły, tak aby pierwszy impet uderzenia sowieckiego poszedł w pustkę, i przyjąć bitwę dopiero o kilkaset kilometrów bardziej na zachód.

Decyzja taka dla sztabu niemieckiego była na pewno decyzją tragiczną. O ile bowiem jeszcze rok temu oznaczała ona tylko przeniesienie frontu na terenach okupowanych o 200 — 300 klm bardziej na zachód, na inne tereny okupowane, to obecnie oznacza ona przerzucenie wojny na terytorium samej Rzeszy.

Niemcy nie zdobyli się zresztą na stosowanie tej taktyki konsekwentnie. Zrobili tu jeden ważny wyjątek: w Prusach Wschodnich. Tutaj postanowili bronić każdej piędzi ziemi. Na takiej decyzji zaważyły względy dwojakiego rodzaju: natury tak militarnej, jak i uczuciowej. Wschodnie granicy Prus Wschodnich bronił łańcuch potężnych fortyfikacji jeszcze z ubiegłej wojny z Wstrusciem (Insterburgiem) na czele. Fortyce te wytrzymały w lecie ub. r. ofensywę sowiecką. Można więc było przypuszczać, że wytrzymały ją i teraz. Przede wszystkim jednak ze względów propagandowych Niemcom trudno było oddawać bez walki całą prowincję Rzeszy. Ale też i przykład Prus Wschodnich pokazał szczególnie naczynię niebezpieczeństwa dawnej taktyki. Tu bowiem właśnie udało się Rosjanom odciąć większe siły niemieckie — niektórzy obliczają je na 20 dywizji, — tu zatem klęska niemiecka jest równoznaczna nie tylko utracie terytorium, ale i zniszczeniu niemieckiej armii.

Rosjanie odpowiedzieli na nową taktykę niemiecką rozwinięciem do maximum szybkości swoich kolumn czołgowych (były dni, że komunikaty donosiły o przesunięciu się frontu w ciągu jednej doby aż o 70 klm na zachód) i trzeba przypaść, że udało im się dzięki temu pomieszać Niemcom szlaki (w najdalszym razie znaczeniu) i stworzyć dla Niemiec sytuację szczególnie groźną. Niemcom nie udało się dotychczas stworzyć nowej linii frontu i wiemy już dziś, że jeśli idzie o południowy i centralny odcinek frontu, to w najlepszym wypadku będzie to dla nich linia Odrę. Takie zaś fakty, jak pozostawienie na nielaskę Rosjan 200 tysięcy Niemców w Łodzi czy oddanie im między Wrocławiem a Poznaniem czterech nietkniętych lotnisk wraz z samolotami, świadczą, że na niektórych przynajmniej odcinkach odwrót zamiast się w panice ucieczkę.

W tej chwili najgroźniejszym dla Niemców rezultatem nowej ofensywy sowieckiej jest utrata Śląska. W przeciwieństwie do Zagłębia Ruhry Zagłębie Śląskie prawie wcale nie było bombardowane. Jego zdolność produkcyjna została w czasie wojny wydatnie zwiększona. Utrata Śląska oznacza, iż nawet jeśli Niemcom uda się przetrzymać obecną ofensywę, ich potencjał przemysłowy już w najbliższej przyszłości będzie musiał katastroficznie spaść.

Trzeba wreszcie podkreślić jedną okoliczność. Oto Niemcy, cofając się, zawsze dotychczas stosowali zasadę *scorched earth*. Można się też było poważnie obawiać, że w miarę jak walec wojny będzie się przemieszczał przez terytorium Polski na zachód, będzie poza sobą pozostawiał tylko ruiny. Tempo nowej ofensywy sprawiło, iż Niemcy nie mieli na to czasu. Przez wielkie terytoria centralnej i zachodniej Polski wojna po prostu przeskoczyła. Niemcy nie mieli czasu na zniszczenie ani Krakowa, ani Łodzi, ani Częstochowy, ani setek innych miejscowości. Można się zato poważnie obawiać o los Poznania i Torunia.

Trzeba przyznać propagandzie niemieckiej, że umiała stawić czoło nowej sytuacji po męsku: nie ukrywała przed Niemcami grozy sytuacji. Apele Goebbelsa, czy Fritschego do Berlinskich, aby nie poddawali się panice i brali przykład z Anglików i Rosjan w dniach próby, świadczą, iż

władze niemieckie nie mają zamiaru ukrywania przed Niemcami, iż stoją na skraju przepaści. Niemcy doskonale zdają sobie sprawę z tego, iż na kraj ich zwały się wszystkie okropności wojny totalnej *made in Germany* oraz iż mają do czynienia z przeciwnikiem, który potrafi rozmówić się z nimi po niemiecku.

Jeśli w najbliższych dniach nie przyjdzie na Zachodzie wielka ofensywa, równowaga sił w Europie, i tak już zachwiana, zaakcentuje się jeszcze wyraźniej. Działania na froncie zachodnim to w tej chwili — poza ostateczną likwidacją klinu niemieckiego w Ardenach — tylko działania lokalne. Okoliczność jednak, iż w ostatnich dniach ustąpiły naloży bombowe na Niemcy, zdaje się wskazywać na to, że Alianci koncentrują swoje lotnictwo do wielkiego uderzenia na Niemcy.

W związku z sytuacją na froncie wschodnim tym poważniejszym znakiem zapowiadającym rysuje się kwestia, jak w ogóle mogło dojść do tego, że na froncie zachodnim Niemcy pozwolili sobie na działania ofensywne, które odniosły pewne początkowe sukcesy i które w znacznej mierze musiały zniszczyć przygotowaną ofensywne alianatów.

Interesująca odpowiedź na to pytanie przynosi dobrze zazwyczaj poinformowany publicysta francuski, Pertinax. Zdaniem Pertinaxa, wbrew ułudowi anglo-amerykańskiemu, który przewidywał, iż żadne większe działania ofensywne nie będą podejmowane na Pacyfiku przed ostatecznym pokonaniem Niemiec, Roosevelt zdecydował się pod naciskiem gen. MacArthura i części amerykańskiej opinii publicznej rzucić wielkie ilości sprzętu wojennego, które pierwotnie miały iść do Francji, na japoński teatr wojny. Dzięki temu wojska amerykańskie stanęły co prawda mocną nogą na Filipinach i zagrażają dziś Manill, ale zato Sprzymierzeni — jak dotychczas — nie byli zdolni do rozwinęcia na froncie zachodnim ofensywy na wielką skalę.

Wiadomości o niepowodzeniach na froncie niemieckim podzielały jednak na opinie amerykańską siłą wstrząsu. Wywołały one nie tylko falę ostrej krytyki, ale także i zaciśnięcie śrub mobilizacyjnej siły robotycznej oraz — jeśli wierzyć korespondentom — decyzję zwiększenia kontyngentu dostaw na front zachodni. Wszystko wskazuje na to, że Sprzymierzeni montują na zachodzie wielką ofensywę.

Ofensywa ta jest Aliantom potrzebna tym bardziej, że Rosjanie teraz, mając pod swoją okupacją znaczne połacie Rzeszy, będą się starali tym energiczniej przeprzeć swój punkt widzenia w sprawach niemieckich. Jest bowiem tajemnicą poliszynela, że tak jak w wielu sprawach politycznych, tak i w kwestii niemieckiej nie udało się dotychczas ustalić jednolitej polityki mocarstw. Ba, nie bardzo nawet wiemy, jakie punkty widzenia się starły. Jeśli idzie o mocarstwa anglosaskie, to można powiedzieć tylko tyle, że w ostatnich miesiącach w ich opinii publicznej coraz wyraźniej biorą górę prądy, domagające się „twardego” pokój dla Niemców, jakkolwiek Anglicy ciągle jeszcze niechętnie myślą o planach znacznego okrojenia terytorialnego czy rozbioru Rzeszy. Trudno też ustalić, jaka jest rosyjska polityka wobec Niemiec: domysły muszą tu oscylować między tymi wnioskami, jakie zdają się wynikać z istnienia w Moskwie generalnego komitetu Wolnych Niemców, a różnymi apelami, które, — gdyby je brać dosłownie, — świadczyłyby o tym, że Rosjanie są gotowi wobec Niemców na politykę bez mała eksterminacji. Jak polityka sowiecka wobec Niemiec będzie przebiegała między tymi ekstremami, trudno przewidzieć. Bardzo być może, że będzie to mieszanina równocześnie i jednej, i drugiej polityki.

Wiadomości z Grecji mówią o zdziwieniu politycznym. Z Włoch przychozą wieści o nędzy i chaosie gospodarczym. Niepokojące są też nowiny z Francji. De Gaulle i jego najbliżsi współpracownicy to ludzie, dla których w polskim życiu politycznym najbliższym odpowiednikiem byłby chadecy (z pewnym odchyleniem na lewo). Ludzie ci potrafili nie tylko w warunkach wyjątkowo trudnych i niebezpiecznych uchwycić władzę w swoje ręce, zorganizować aparat państwowy, ale też umieli zreć i energicznie zarazem rozkładować w kraju napięcia rewolucyjne (trzeba pamiętać, że z chwilą gdy Niemcy opuszczali Francję, władza była w rękach uzbrojonych milicji partyjnych). Dziś jednak przychozą wiadomości o tym, że głód, brak środków opał i surowców we Francji katastroficznie wzrastają. Wszystko to musi wzmagać we Francji napięcia rewolucyjne na nowo.

Wszyscy, oczywiście, rozumiemy, że dostawy wojenne w czasie wojny mają pierwszeństwo, ale i tu jest pewna granica. Ostatecznie, wojnę prowadzi się dla osiągnięcia pewnych celów politycznych. Francja zaś w stanie chaosu i rewolty ludzi głodnych to dla celów politycznych Aliantów groźba nie mniejsza od dywizji pancernych SS.

Jesteśmy dziś w chwili, kiedy, jak się zdaje, dramat drugiej wojny europejskiej dobiega do końca swojego piątego aktu. Ale póki, który po niej nastąpi, może się okazać złem nie mniejszym od samej wojny. Dla jednych oznaczać on będzie zamianę jednych cierpień i prywatni na inne, a drudzy mogą nadejść jego po prostu nie zauważyć.

29. I. 1945.

ww.

Obecna zima jest pierwszą, jaką kraje europejskie, wyzwolone przez Aliantów, przeżywają bez okupacji niemieckiej. Rzecz zrozumiała, żaden z nich nie zdążył zorganizować jeszcze transportu, uruchomić produkcji, nie mówiąc już, że prawie wszędzie rozdarcie polityczne i walka o władzę górują nad zadaniem odbudowy gospodarczej.

W tych warunkach główna odpowiedzialność zarówno za rzeczywisty powrót życia do norm demokratycznych, jak i za zaopatrzenie w żywność podczas trudnego okresu przejściowego — spada na Aliantów. Społeczeństwo głośnie skłonne jest do krainowych decyzji i ruchów rewolucyjnych, społeczeństwo syte szuka kompromisu. Tym, protestujący przeciw wyrokowi na Dantona, porzucił demonstrację na wieść o świeżym transporcie chleba dla Paryża.

Sądząc z wydarzeń politycznych na terenie Grecji i z niepewnej sytuacji we Włoszech, głód jest niewątpliwie złym doradcą.

Bezpódnia przyczyna groźnych rozmiarów konfliktu greckiego była dysproporcja sił angielskich i ruchu ELAS: w pierwszej chwili za decyzją gen. Scobie nie stała odpowiednia ilość tanków i dział. We Włoszech, gdzie jeszcze na północy toczy się wojna, sytuacja jest odwrotna: Alianci panują wojskowo nad sytuacją i, właśnie dlatego, tym większa jest ich odpowiedzialność za stan rzeczy.

Rozwój wypadków we Włoszech przyniósł głębokie rozczarowanie. Okazało się, że zrzuć jarzma hitlerowskiego nie oznacza bynajmniej powrotu do normalnych warunków życia, a zerwanie z ideologią faszystowską raczej przynosi w krajach totalistycznych ideologiczną pustkę niż demokrację.

Polityka aliancka we Włoszech krytykowana jest szczególnie ostro przez prasę amerykańską. Ostatnio *The American Mercury* z grudnia 1944 zamieszcza korespondencję z Włoch p. *Revolution threatens Italy* pióra Geny Rea, Włoski z pochodzenia, pracujący w Stanach Zjednoczonych od r. 1927, obecnie zaś pełniący obowiązki specjalnej korespondentki we Włoszech:

„Alianci odnieśli we Włoszech zwycięstwo wojskowe, ale przegrywają, — oto jest teza artykułu, — jeżeli już nie przegrali, włoski pokój. Negatywny stosunek Brytyjczyków i Amerykanów mocno podważa wiarę w Aliantów i nadzieję, jaką Włosi okazali bezpośrednio po swojej „bezwartkowej kapitulacji”. Po dwunastu miesiącach alianckiego „wyzwolenia” Włosi są w bliskim niebezpieczeństwie otwartej rewolucji.”

Wielcy właściciele ziemscy, bogaci handlowcy i przemysłowcy mają się dobrze i okazują swą radość z powodu wyzwolenia, gdyż polityka aliancka popiera ich pozycję społeczną. Ale masy, ludność biednych wsi, drobnych miast i miasteczek cierpią straszliwą nędzę, która, gdy dojdzie jeszcze ciężar okresu zimowego, może — twierdzi Gen Rea — doprowadzić do jawnej rewolty.

Autorka artykułu oskarża Aliantów o niedotrzymanie przyrzeczeń, fałszywą politykę, zamykanie oczu na prawdziwe położenie ludności, zamykanie uszu na polityczne żądania mas. Podczas gdy pewna grupa ludzi istotnie robi, co może, by zreorganizować Włochy, praca większości urzędników alianckich polega na częstej gadaninie, na manii konferowania.

Główne złoto tkwi — zdaniem autorki — w upartym trzymaniu się zasady, iż Włochy są pokonanym wrogiem, iż jedyną istotną troską Aliantów powinno być wydobycie z kraju ułatwień, potrzebnych dla wojska i dalszego prowadzenia

wojny na północy.

W rezultacie mnożą się bunt, rozruchy, strajki, grabież dosięga niesłychanych rozmiarów, a bezpieczeństwo publiczne po zapadnięciu zmierzchu w praktyce nie istnieje. Politycznie Anglia faworyzuje Badoglię i Dom Sabaudzki, Ameryka jest niezdeterminowana, czy iść z Anglią, czy też „sprzyjać demokratycznym nastrojom ludności”. Rosja zaś prowadzi ową tajemniczą grę, nazewnątrz faworyzując Badoglię, kładąc tymczasem podstawy pod komunistyczne przymierze.

Sprawozdanie alianckie za pierwszy rok działalności w okupowanych Włoszech wykazuje znaczną pracę, dokonaną na polu rolnictwa, w praktyce jednak żywność nie dociera do mas, trafiając na czarny rynek z masowo okradanych składów. Brak środków komunikacyjnych powiększa bezsilność władz: Gene Rea cytuje przegodę włoskiego ministra, który musiał kupić benzynę na czarnym rynku, by odbyć podróż inspekcyjną po południowych Włoszech.

„Alianci — oświadczył dziennikarz jeden z wysokich urzędników — mieli dwie drogi do wyboru. Mogli nas traktować albo jako naród pokonany i podbity i dać nam armię okupacyjną, ażeby nami rządziła, albo też potraktować nas jako przyjaciel i dać nam walczyć przy swoim boku. Niestety, nie wybrali żadnej z tych dwóch możliwości”.

Dziś nad wszystkim dominuje głód. Ci szczególnie, którzy pracują dla Aliantów, zarabiają od 80 do 150 lirów dziennie (1 dolar = 100 lirów), podczas gdy jako koczownicy 70 lirów na czarnym rynku.

Za parę butów trzeba zapłacić 4.000 lirów, za ubranie 20.000, za koszulę 1.500 (czyli cenę jednej nocy z Włoszką z dobrej sfery towarzyskiej). Włoch, któremu udało się jakoś urządzić, żyje przeciętnie na normie 1000 kalorii dziennie, podczas gdy 2.500—3.000 kalorii stanowi niezbędne minimum odżywiania, a żołnierz aliancki otrzymuje dziennie 4.000 kalorii.

Toteż śmiertelność jest zaskakująca. Zdołano przeprowadzić statystykę w Neapolu, która wykazała, iż 45% dzieci poniżej roku umiera z głodu i wyniszczenia matek. Szpitale rzymskie nie mogą zmieścić chorych, jedynym zapewne pożywieniem dla 200.000 ludzi jest zupa, rozdzielana raz dziennie przez Amgot. Choroby weneryczne w Neapolu i Palermo sięgają rozmiarów epidemicznych, niebezpieczeństwo tyfusu rośnie z dnia na dzień.

Rodziny włoskie żyją z wyprzedzają ubrań, bielizny, mebli, a nie rzadko — z prostytucji swych kobiet.

Dziewczęta po lat 18 włóczą się po ulicach, otwierając ofiarując swe usługi oficerom za 1500 lirów. Z żołnierzem dziewczyną z ludu półdzikim gdziekolwiek za puszkę *corned-beefu*.

Rząd włoski nie tai wielkiego wzrostu prostytucji.

„Oto jest tragiczny obraz Włoch, — kończy autorka. — Zdejmijcie z niego maskę, a zobaczycie narastającą rewolucję. Nie rewolucję organizowaną, chociaż komuniści, anarzysty i ci wszyscy, którzy włożyli białą koszulę na miejsce czarnej, skorzystają ze sposobności i spróbują uchwycić ster, gdy tylko przyjdzie powstanie, — lecz rewolucję mas. Ludzie po prostu nie podają znoś tego dłużej”.

„Jeżeli Brytyjczycy i Amerykanie nie uświadomią sobie, że Włochy są na skraju rewolty, i nie zrobią szybko czegoś konkretnego, to zima będzie ponurą i krwawą zimą Włoch”.

Komentarz do powstania słowackiego

W londyńskim tygodniku *The Economist* w numerze z dn. 11 listopada ub. r. czytamy:

„Powstanie słowackie, które zaczęło się w ostatnich dniach sierpnia, poniosło ciężką klęskę. Po dwóch miesiącach walki powstańcy zostali wyparci z Bańskiej Bystrzycy, ostatniej ich twierdzy w Słowacji Wschodniej (Słowacja Zachodnia przez cały czas była w rękach niemieckich). Podobnie jak powstanie warszawskie, walki w Słowacji nie były zsynchronizowane z operacjami rosyjskimi. Powstańcy jednak otrzymali pomoc sowiecką od samego początku, a upadek powstania nie spowodował rekryminacji politycznych. Rozczarowanie Słowaków było złagodzzone pewnością, że ich porażka jest na krótko. Przeglądając Podkarpacie jest już uwolniona przez wojska gen. Pietrowa, armia zaś gen. Malinowskiego posuwa się ku Słowacji od Siedmiogrodu. Wypadki polityczne, które miały miejsce podczas powstania, pozwoliły na wgląd w przyszłe stosunki Słowacji z Czechami i Morawami. Władza, wyłoniona przez

ruch, stała się Słowacka Rada Narodowa, w równym mierze podzielona na dwa bloki: na prawicy Blok Demokratyczny, obejmujący wszystkie ugrupowania grupowania rolnicze i katolickie, opozycyjne w stosunku do kuślingowskiego reżimu Tiso, a na lewicy — socjaliści i komuniści, połączeni w jedną partię. Rada Narodowa formalnie uznawała autorytet rządu prez. Benesza pod warunkiem jego zupełnej przebudowy i zupełnej zmiany składu po wyzwoleniu Czechosłowacji. Rada jednak odmówiła poddania się władzy delegacji rządowej z Nemetzem na czele, która została wysłana z Londynu celem przejęcia kontroli administracji na terenach wyzwolonych. Słowacy niewątpliwie życzą sobie odnowienie unii z Czechami w ramach jednego państwa, ale nadal stoją w opozycji do czeskiej polityki centralizacyjnej. Jeśli prez. Benesz ma osiągnąć jednolitość Czechosłowacji, winienby poczynić daleko idące ustępstwa na rzecz tych, którzy żądają republiki federalnej”.

KRONIKA POLSKA

serdeczny” i album rysunków Zygmunta Turkiewicza „Monte Cassino”.

— W serii „A Polish Library Pamphlet” ukazała się w Glasgow zbiór wierszy z poezji Polski Podziemnej w przekładzie Alberta Mackie p. t. „A Call from Warsaw. An Anthology of Underground Warsaw Poetry”. Broszurę zdobią ilustracje Józefa Śkalskiego. Dwanaście z ogłoszonych tu wierszy o Warszawie wydrukowano w numerze 20 (38) „W Drodze” z dn. 16 października ub. r.

— Min. W.R. i O.P. w Londynie wydało tom pierwszy „Radiotechniki”, przekładu książki p. t. „Admiralty Handbook of Wireless Telegraphy”.

Książki nadesłane do Redakcji

Szkoła Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, t. 64. Adolf Dygasiński. Zajac. Powieść. Jeruzolima, M.W.R. i O.P., 1944. Str. 174.

Szkoła Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, t. 65—66. Bolesław Prus (Aleksander Głowacki). Emancypantki. Powieść. T. I—II. Jeruzolima, M.W.R. i O.P., 1944. Str. 260 (I) i 194 (II).

Szkoła Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, t. 63. Seweryn Goszczyński. Zamek Kaniowski. Powieść. Opracował Józef Treliak, prof. Uniw. Jagiell. Jeruzolima, M.W.R. i O.P., 1944. Str. 132 i 4nł.

Na str. 10 niniejszego numeru opuszczono podpis autora „Polonistów w książkach angielskich”: *Scrutator*.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” zaczęły wychodzić polskie przekłady głośniejszej serii broszur politycznych

„OXFORD PAMPHLETS ON WORLD AFFAIRS”

Jako dwa pierwsze numery ukazały się

Nr 1

D. W. BROGAN

Prof. Uniwersytetu w Cambridge

AMERYKAŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA

Nr 2

IVOR THOMAS

Członek Izby Gmin

KIM JEST MUSSOLINI?

Dalsze zeszyty w druku

Cena każdej broszury 50 milsów